

Thomas Brezina

"Klub Detektywów: Las wilkołaków"

Dodała: Princess_Of_Darkness_

ROZDZIAŁ PIERWSZY: Piknik w świetle księżyca

"Jaka szkoda, że Lilo, Poppi i Dominika to nie ma!" - pomyślał Axel, wypelzając z namiotu. Twarz owiało mu chłodne nocne powietrze, w uszach zadźwięczało wysokie buczenie.

To wstrętne, krwiożercze komary komary natychmiast rzuciły się na niego. Na szczęście Axel miał na sobie dres z długim rękawem, więc nie znalazły zbyt wiele smakowitej skóry dla swoich żądań. Nad wierzchołkami drzew pobliskiego lasu wszedł właśnie księżyc; za kilka dni będzie pełnia. Z resztą już teraz jego tarcza była wystarczająco jasna, żeby łąkę, wzgórze, drzewa i jezioro zalało żółtawo-białe światło.

Axel miał nieodpartwe wrażenie, że w takie właśnie noce czarownice urządzały sabat, żeby odprawiać swoje tajemnicze rytuały z diabłem.

"Co za bzdury!" - skarcił się w myślach, przeciągając się i ziewając szeroko. Rozejrzał się po uśpionym miasteczku namiotów. Gdzie podziewała się Beaky? Było za dziesięć dwunasta, już dawno powinna się tu zjawić. W lesie zachuczała sowa, a nad głową Axela przemknęło stadko nietoperzy.

"Gdzie ona się podziała, jak rany? Na dziewczynach naprawdę nie można polegać!" - wściekał się Axel.

Przez te kilka dni zdążył się już zaprzyjaźnić z Becky Anderson, a nawet uznał, że znakomicie nadawałaby się na członkinię Klubu Detektywów.

Becky była w tym samym wieku co Axel; w pierwszej chwili wiele osób brało ją za chłopaka. Nosila krótko obcięte włosy i ubierała się wyłącznie w wypłowiałe dzinsy, wypłowiałą dzinsową kurtkę i wypłowiały T-shirt. Na szyi zawsze wiązała czerwoną bandanę.

Nagle Axel usłyszał zbliżające się do niego ostrożne, powolne kroki.

"Czekaj no, jeśli chcesz mnie nastraszyć, już ja ci pokażę! W życiu nie przeżyłaś takiego szoku!" - pomyślał Axel. Nie miał wątpliwości, że to Becky się skrada.

Schowwał się szybko za swój namiot i czekał bez ruchu. Tajemnicze kroki, nie zwalniając tempa, zaczęły się oddalać! Nieco rozczarowany Axel wysunął głowę zza płachty namiotu, żeby się rozejrzeć.

To wcale nie była Becky.

W jasnym świetle księżyca zobaczył potężnego, muskularnego mężczyznę o sportowej sylwetce. Miał długą, kanciastą głowę i charakterystyczną fryzurę: włosy króciutko przystrzyżone po bokach, a u góry nieco dłuższe.

"Mister Bennet! To przecież Ben Bennet!" - zdziwił się Axel. Ogromnie podziwiał tego człowieka, który przyjechał z USA i był wybitnym sportowcem. Zdobył już nawet kilka medali olimpijskich.

"Co on tu robi o tej porze?" - zastanawiał się Axel. Przecież wielokrotnie wbijał do głów młodym sportowcom, że najważniejsze jest zdrowe odżywianie się i odpowiednia ilość snu.

Axela zdumiało coś jeszcze - Bennet trzymał w prawej dłoni pałkę, którą nerwowo uderzał o otwartą lewą dłoń. Wyglądał, jakby kogoś szukał... i chciał... powalić go na ziemię. Czy to możliwe? A może Axela poniosła fantazja?

- Haaa! - Nagle ktoś z tyłu rękami zakrył mu oczy. Axel przeraził się tak okropnie, że serce zaczęło mu walić jak młotem. - Przestraszyłeś się? - zapytał wesoło dziwzący głosik.

- Eee... no... szczerze mówiąc, tak! - stęknął Axel.

To była Becky, która niepostrzeżenie podkrađła się do niego.

- Czemu się gapisz w tamtą stronę? - zapytała.

- Tam jest Ben Bennet... z pałką w rękę! - wyjaśnił Axel. Sportowiec zniknął już jednak w ciemnościach, więc Becky parsknęła śmiechem, przekonana, że Axel to sobie wymyślił. - Jesteś pewna, że to ma być impreza o północy? - spytał.

Becky energicznie skinęła głową, po czym z kieszeni dżinsowej kurtki wyciągnęła małą karteczkę. Oświetliła ją promieniem latarki i przeczytała:

- "Piknik w świetle księżyca. Spotkanie przy złamanym cedrze". Znam to drzewo, stoi tu niedaleko, kiedyś było strasznie wysokie, ale burza złamała pień na pół. A jednak cedr nie usechł i rośnie sobie dalej. Jestem pewna, że to zaproszenie przysłały mi szwedzkie zawodniczki!

- Ale to nie ja jestem zaproszony, tylko ty! - wtrącił Axel.

- Co jest? Strach cię obleciał? No to śpij dalej, dziecko! - zakpiła Becky. - Ja idę! Oczywiście Axel ruszył za nią. Przecież nie jest tchórzem!

Szybkim krokiem wyszli poza teren obozu, gdzie stało co najmniej sto pięćdziesiąt namiotów, i puścili się biegiem do skraju lasu. Axel mocno ścisnął w dłoni latarkę. Tym razem zamiast swojej małej latareczki w kształcie pióra, z którą nigdy się nie rozstawał, wziął solidną, z długim uchwytem. Dawała znacznie jaśniejsze światło, a poza tym świeciła dłużej. Miał przecucie, że będzie mu potrzebna.

Z głębi lasu dobiegło przeciągłe wycie.

Axela przeszedł nagły dreszcz. Wycie było chyba rodzajem nawoływania, bowiem w odpowiedzi coś zawyło równie okropnie. A potem jeszcze raz i jeszcze.

Nawet zwykle nieustraszona Becky zadrżała. Stała jak wryta, obróciwszy ku Axelowi ściągniętą przerażeniem twarz.

- Cco... co to było? - wyjąkała.

- Czy tu może... są wilki? - szepną Axel.

Becky potrząsnęła głową.

- Przed stu laty wybito wszystkie do nogi, ze względu na skóry. Nigdy nie słyszałam, żeby w okolicy grasował jakiś wilk.

Zaległa cisza. Powiał lekki wietrzyk, zaszeleścił w gałęziach drzew. Nawet sowa umilkła.

- To na pewno te Szwedki! - odezwała się Becky, choć w jej głosie brakowało zwyłej pewności siebie. - Chodź, idziemy!

Z wahaniem weszli do lasu. Posuwali się między wysokimi, grubymi pniami drzew, czekali czas oświetlając teren w okół siebie, żeby uniknąć ewentualnego niebezpieczeństwa. Oboje stracili już ochotę na piknik, chociaż za nic by się do tego nie przyznali.

- Czy na pewno idziemy w dobrą stronę? - spytał cicho Axel.

Becky skinęła głową.

Nagle z tyłu rozległ się odgłos wystrzału. Nocni wędrowcy z przerażeniem spojrzeli za siebie.

Spomiędzy drzew wciąż jeszcze prześwitywała łaska blaskiem księżyca łąka oddzielająca teren obozu od lasu. Stała na niej jakaś szczupła postać z wycelowanym pistoletem. Tuż obok pólleżał w trawie ktoś jeszcze, kto błyskawicznie się poderwał i odebrał napastnikowi broń. Rozbrojony osobnik natychmiast rzucił się do ucieczki.

- Co... kto to był? Kto strzelał? I do kogo? - wyjąkała Becky.

Przerażona chwyciła Axela za ramię. Chłopak szczerze żałował, że nie ma tu nikogo, kogo on sam mógłby się uchwycić.

- Ja... musimy natychmiast wracać... zameldować o tym, co się stało! - wydyszał Axel. - Trzeba pomóc rannemu. To było morderstwo!

Chwycił Becky za rękę i oboje ruszyli z powrotem w stronę obozu. Nie zdołali jednak przebiec więcej niż dwa metry...

ROZDZIAŁ DRUGI: Las wilkołaków

Chociaż nie sposób było tego stwierdzić na pewno, Becky i Axel stanęli przed czymś, co przypominało mur, który zadawał się mieć co najmniej metr grubości.

Oboje przełknęli głośno ślinę, zbierając wszystkie siły i resztki odwagi. Pragnęli jak najszybciej wydostać się ze straszliwego lasu i z powrotem znaleźć się w bezpiecznych namiotach.

Ledwie odważyli się postawić krok naprzód, natychmiast cofnęli się z przerażeniem. Coś poruszyło się za pniami drzew! Jakieś postacie, których jednak nie potrafili rozpoznać.

Już chcieli biec dalej, gdy wten ujrzeni przed sobą trzy inne cienie, które wychynęły z zarośli i zagroziły im drogę.

- Wiemy, że... że... że tam... jesteście! - wyjąkała z trudem Becky. - To Lisa... Britta... i Karen, prawda?

Cisza, żadnej odpowiedzi. Tylko pełne grozy milczenie.

Przerażeni Axel i Becky, dygocąc ze strachu, postąpili chwiejnie kilka kroków do tyłu. Cienie nie ścigały ich, ale też nie zniknęły.

Oboje cofali się coraz dalej w głąb lasu, aż nagle uderzyli plecami w coś dużego, lecz niezbyt twardego. Pochylili się instynktownie, jakby spodziewali się ciosu. Kiedy jednak nic takiego nie nastąpiło, powoli odwrócili głowy, żeby sprawdzić, co to za przeszkoda.

Przez korony drzew przenikał blask księżyca, niczym reflektor oświetlając jakąś dziwną postać.

Miała ludzkie kończyny, które tkwiły w poszarpanych nogawkach spodni.

Rozszerzonymi ze strachu oczami Axel obserwował zmierzwioną szczecinę porastającą skórę tej istoty; na dłoniach i ramionach tworzyła grube futro.

Nagie barki połyskiwały żółtawo, a właściwie niemal zielonkawo, zbiegając się z pomarszczoną, podrapaną szyję, na której tkwiła ludzka głowa o rysach przypominających wilczy łeb. W ustach wielkich niczym paszcza zwierza lśniły wielkie żółte zębiska. Policzki porastał gęsty włos, krzaczaste brwi były zupełnie zrosnięte. Oczy w ciemnych, głębokich oczodołach dawały się jarzyć niepokojącym blaskiem.

Dziwne spiczaste uszy tego monstrum znajdowały się nieco z tyłu.

Skołtunione włosy na głowie wyglądały jak gęste sfilcowane futro. Warcząc głośno, prychając i ochryple dysząc, człekowilk uniósł groźnie szpony. Axel i Becky z obrzydzeniem wpatrywali się w długie, krwawoczerwone pazury. Środkowy plauch był nienormalnie wydłużony i przypominał szpon drapieżnika.

Wydawszy z siebie niski, przeciągły skowyt, wilkołak chwycił dzieciaki za kołnierze kurtek i podniósł do góry, jakby nic nie ważyły, po czym wraz ze swym łupem rzucił się do ucieczki.

Początkowo Axel i Becky byli zupełnie sparaliżowani ze strachu. Po chwili jednak zdołali się ocknąć i zaczęli kopać, wymachiwać rękami i wrzeszczeć ile sił w płucach.

Reszta wilkołaków rzuciła się ku nim ze wszystkich stron, zakrywając im usta. Smród, jaki wydzielali ich cielska, niemal ogłuszył Axela. Była to ohydna mieszanina odoru pleśni, mokrej ziemi, przegniłych roślin i kulek przeciwmolowych.

Drzewa, krzewy, paprocie, księżyc, niebo i leśne poszycie nagle uległy gwałtownej przemianie.

Axelowi szumiało teraz w uszach, wycie wilkołaków brzmiało jak czarnoksiężskie zaklęcie.

Ich kroki dudniły, oddech rzeźił głucho.

Dławiąca groza nocy spowijała młodego detektywa szczelnie niczym płaszcz, z wolna zmieniający się w kaftan bezpieczeństwa, z którego nie było ucieczki.

Tylko raz zaciśnięte na wargach Axela łąpsko wilkołaka zsunęło się nieco i chłopak mógł zawołać Becky, ale nie usłyszał żadnej odpowiedzi.

Wilkołaki unosiły swoje ofiary coraz głębiej w las. Co właściwie zamierzały z nimi uczynić?

Axela opuściły nagle wszystkie siły, aż osunął się w pełną koszmarów otchłań nieświadomości.

Gdy się znowu ocknął, tuż przy jego głowie wesoło trzaskał ogień. Ujrzał migotliwy taniec płomieni i poczuł żar bijący od ogniska.

Obrócił głowę i poprzez płomienie dostrzegł leżącą po drugiej stronie ogniska Becky. Nie poruszała się, pewnie wciąż jeszcze była nieprzytomna.

Axel spróbował wstać, ale ze związanymi kończynami zdołał jedynie unieść nieco głowę, a wówczas ujrzał przed sobą ciemne zarysy postaci.

Były to cienie, które widzieli z Becky już wcześniej - jeden w drugiego same wilkołaki. Wilkowate pyski wpatrywały się w leżące przy ognisku ofiary, jęzory raz za razem oblizywały żółte zębiska. Potwory rozmawiały ze sobą, gwałtownie gestykulując porośniętymi futrem łapskami, ale nie sposób było rozróżnić słów. W każdym razie robiły wrażenie bardzo zdenerwowanych.

Nagle przez tę zgraję przecisnął się jakiś potężny wilkołak i przyjrzał się związanym dzieciakom. W łapach trzymał drewnianą misę, z którą powoli podszedł do ognia.

W górze świecił baldy, niemal okrągły księżyc. Wilkołak z misą poniósł łeb i wydał z siebie przeciągłe wycie. Czy była to skarga? Błaganie? A może jakieś zaklęcie?

- Nie... proszę... nie, zostaw mnie! Proszę! - jęczał Axel, usiłując się uwolnić z krępujących go więzów.

Niestety, gruby sznur został okręcony wokół wbitych w ziemię kołków i za nic nie dawał się poluzować.

Do wycia dołączyły teraz inne wilkołaki. Kakofonia żalonych dźwięków niczym

rozżarzona strzała wwiercała się boleśnie w mózg i uszy.

- Nie... przestańcie... błagam! Nie! Nie... Niiieeee! - wrzasnął z rozpaczą Axel.

W tej samej chwili wilkołak wsypał zawartość misy do ognia. Rozległy się głośne trzaski, a w nocne niebo popłynęły gęste chmury dymu. Rozszedł się osobliwy zapach, mieszanina słodkiej, kwiatowej woni i drażniącej goźkiej, ziemistej, który zamącił Axelowi w głowie. Początkowo próbował wstrzymać oddech, by nie wciągać w płuca cuchnącego dymu, ale na próżno. Żrące wyziewy nie przestawały unosić się nad płomieniami, a z braku powietrza Axelowi zaczęły tańczyć przed oczami barwne plamy.

W końcu musiał odetchnąć, przy czym nabrał w płuca duży haust żrącego dymu. W świetle księżyca widział nad sobą zarysy dziwnych postaci. Głowę i całe ciało wypełniało mu ich przeciągłe wycia, które stawało się coraz bardziej dudniące i przenikliwe. Wreszcie eksplodowało, a Axel miał wrażenie, że on sam rozpada się na tysiąc kawałków.

Skądś z góry spadła na niego miękka, czarna zasłona i chłopiec stracił przytomność.

Gdy się ocknął, nie był już skrępowany sznurem - mógł wstać i odejść, dokąd tylko chciał. Był jasny dzień, wokół głośno śpiewały ptaki ile sił w płucach. Axel rozejrzył się, nic nie rozumiejąc. Co tu się właściwie stało?

ROZDZIAŁ TRZECI: Jednakowy sen?

Axel leżał w namiocie, z którego wyszedł tuż przed północą. Był przykryty śpiworem, do piersi tulił, niczym pluszowego misia, małą poduszeczkę.

Z zewnątrz dochodziły głosy innych mieszkańców namiotowego miasteczka, a przez cienki pomarańczowy materiał dachu Axel mógł nawet dostrzec kulę słońca na niebie.

- Hej, no co jest? Wstawaj, śpiochu! - usłyszał głos trenera.

Ponieważ Axel nie dawał znaku życia, trener rozsunął zamek błyskawiczny przy wejściu i pacnął chłopca w twarz rącznikiem ociekającym lodowato zimną wodą.

Plując i prychając głośno, Axel błyskawicznie wyskoczył ze śpiwora i wybiegł z namiotu. Miał na sobie - jak zwykle w nocy - długi, obszerny T-shirt i stare kolorowe bokserki.

Przed nim stał Chomik. Takim właśnie przezwiskiem Axel obdarzył swojego trenera, którym był pan Winter. Miał on wyjątkowo długie przednie zęby, zupełnie jak to sympatyczne zwierzątko, a ponadto skrupulatnie chował wszystko, co tylko dostał. Mogły to być kostki cukru, musztardka w jednorazowych opakowaniach, małe mydełko z hotelowych łazienek, plastikowe sztucce, które zasadniczo należało wyrzucić po użyciu, stare gazety, papierowe serwetki i tysiące innych drobiazgów. Pan Winter zbierał to wszystko, układał porządkie i chował.

Poza tym odczuwał on nieustanną potrzebę ruchu, czym przypominał Axelowi chomika biegającego w kołowrotku.

- Hej, co się z tobą dzieje? Przecież zawsze byłeś rannym ptaszkiem! - wykrzyknął pan Winter, truchtając w miejscu.

- Eee... no tak... sam nie wiem! - wyjąkał z zakłopotaniem Axel.

Już wiedział, dlaczego zasnął, ale głupio mu było się do tego przyznać.

Nabrał bowiem podejrzeń, że wszystko mu się zwyczajnie przyśniło. Może to był najprawdziwszy senny koszmar. Przyjrzał się sobie i nie zauważył ani jednego zadrapania czy siniaka, które świadczyłyby i tajemniczych wydarzeniach z poprzedniej

nocy.

Poza tym nie obudził się przecież w swoim śpiworze, tak jak w nim zasnął poprzedniego wieczora. Szybko zajrzał do namiotu i obok rozgrzebanego śpiwora zobaczył porządnie złożony dres.

Chwileczkę... co??? Porządnie złożony?? W mózgu Axela zakiełkowało pierwsze ziarno wątpliwości. Jeszcze nigdy w życiu nie złożył ubrania. Wyskakiwał z niego i rzucał byle jak, gdzie popadnie. Nie potrafiłby tak ładnie złożyć dresu. Czyżby naprawdę spotkał wilkołaki? Postanowił poszukać Becky - w końcu musiała coś wiedzieć, jeśli ona także tam była.

Axel miał za sobą długą podróż. Ponad szesnaście godzin leciał samolotem z Europy do zachodniej Kanady, gdzie znajdował się obecnie - nad brzegiem romantycznego jeziora w pobliżu dawnego miasteczka poszukiwaczy złota, Barkerville.

Powodem tej podróży, którą musiał odbyć samotnie, bez trójki nieodłącznych przyjaciół, były wielkie młodzieżowe zawody sportowe, odbywające się właśnie tutaj.

Do Barkerville przybyły dzieci i młodzież z siedemdziesięciu różnych krajów, żeby zmierzyć się w dziesięcioboju, składającym się z trzech konkurencji biegowych (na sześćdziesiąt, sto i czterysta metrów), skoku wzwyż, pływania długodystansowego, pchnięcia kulą, rzutu oszczepem, skoku w dal, biegu na orientację i czterokilometrowego biegu z przeszkodami.

Ogromną atrakcją zawodów był udział czołowych lekkoatletów z całego świata, którzy startowali w tych samych konkurencjach, co juniorzy. Każdego dnia trzej słynni sportowcy stawali na podium obok trójki juniorów, co dla młodszych zwycięzców było wielkim wyróżnieniem.

Do tej pory zakończyły się już cztery konkurencje, Axel zaś czterokrotnie zajmował jedno z miejsc na podium. Zdołał nawet zwyciężyć w biegu na sześćdziesiąt i sto metrów.

Chomik o mało nie pękł z dumy, bo w klasyfikacji ogólnej Axel zajmował drugie miejsce, tak jak Ben Bennet, którego chłopiec obserwował ubiegłej nocy.

Ben Bennet! Przecież on kogoś zastrzelił... albo sam został zastrzelony! Axel nagle wszystko sobie przypomniał.

- Panie trenerze, czy... czy widział pan już dzisiaj pana Benneta? - zapytał z napięciem Axel.

Trener zastanowił się przez moment, po czym potrząsnął głową.

- Niedługo sam go zobaczysz, Axel. Najpóźniej dziś wieczorem podczas rozdania medali, gdy znów staniecie na tym samym podium! - zawołał, śmiejąc się rubasznie.

Twrz Axela wyrażała poważne wątpliwości. Czuł teraz, że w nocy spał bardzo, bardzo źle. Kończyny miał ciężkie niczym z ołowiu. Ponadto w programie był dziś rzut oszczepem, co nie należało do jego ulubionych dyscyplin. W tej konkurencji był zdecydowanie najsłabszy.

- Mam dla ciebie coś na zachętę! - oznajmił trener. - Prezes naszego klubu gratuluje ci dotychczasowych osiągnięć. Rozmawiałem z nim wczoraj. Prezes wie, że chciałbyś mieć teraz przy sobie swoich przyjaciół, z tego klubu, który sobie założyliście. Kazał ci powiedzieć, że jeśli dziś wieczorem znowu zajmiesz jedno z trzech pierwszych miejsc, zapłaci za ich bilety lotnicze i za dwa dni już tu będą.

Propozycja nie do odrzucenia!

Jak miał jednak zająć dobre miejsce, będąc w takim stanie? Czuł się kompletnie rozbity, jakby przez całą noc wisiał głową w dół, do tego silnie potrząsany. Co się właściwie zdarzyło? Czy w ogóle coś się zdarzyło? A może naprawdę przyszło mu się to wszystko?

Axel chwycił przybory toaletowe i pognął kłusem w stronę dużego, drewnianego baraku, w którym mieściły się prysznice i umywalki. Ze środka dochodził szum wody, śpiewy ptaków i pokrzykiwania.

Przy jednej z umywarek stał Ben Bennet. A więc jednak nie był martwy. Młody detektyw powoli zbliżył się do niego, przyglądając mu się uważnie. Może był ranny, może miał jakieś obrażenia świadczące o dramatycznych wydarzeniach ubiegłej nocy?

Ben Bennet zauważył jego spojrzenie i uniósł pytająco jasną brew.

- Coś nie w porządku?

Axel zebrał się na odwagę, podszedł do słynnego sportowca, o którym ostatnio nieco ucichło, i zapytał:

- Proszę pana, czy wczoraj w nocy był pan jeszcze na spacerze? Z... ee... pałką w rękę? A może... ehem... słyszał pan jakiś strzał?

Jasnowłosey wiking wyprostował się na całą wysokość, poruszając mskułami, jakby chciał Axela onieśmielić.

- O czym ty mówisz? Przez całą noc spałem. Obudziłem się tylko na moment i rzeczywiście usłyszałem wtedy strzał, pewnie jakiś myśliwy polował w lesie. I co z tego? To chyba nie jest zabronione, prawda? A teraz zmykaj!

Axel usłuchał i wycofał się pośpiesznie. Nie zauważył, że zaniepokojony Bennet patrzy za nim i wcale nie wygląda na tak wyluzowanego, jakiego przed chwilą udawał.

Przy śniadaniu Axel spotkał Becky. Ulżyło mu, bo wydawała się zdrowa i w dobrym nastroju. Wraz ze swym ojcem siedziała przy jednym z bocznych stołów w wielkim namiocie cyrkowym, rozstawionym w centralnym punkcie miasteczka.

Ojciec Becky Anderson był bardzo wysoki, a poza tym sprawiał wrażenie dość sztywnego. Zawsze wyglądał schludnie, jak spod igły. Jego koszule i spodnie stale wydawały się dopiero co wyprasowane. Miał wysokie czoło, nieskazitelnie, choć nieco staromodnie ostrzyżone włosy i starannie wypięlegnowany trzydniowy zarost.

Ów Kanadyjczyk był organizatorem wielkich zawodów sportowych pod hasłem "Przyroda jest nam potrzebna do życia". Tej wojowniczy obrońca przyrody przed kilkoma laty kupił w okolicy olbrzymią platformę wiertniczą do pozyskiwania ropy naftowej. Choć wiercenia nie przyniosły rezultatu, poprzedni właściciele kazali wiercić wciąż nowe otwory w stawiać kolejne wieże, które szpeciły krajobraz.

Pan Anderson natychmiast ogłosił, że zaprzestaje dalszych wierceń i zamierza przywrócić zniszczone tereny do poprzedniego stanu. Na miejscu platformy wiertniczej miał powstać ośrodek badawczy w dziedzinie ochrony przyrody.

Chcąc zwrócić uwagę światowej opinii publicznej na swój wartościowy projekt, zorganizował zawody sportowe i do udziału zaprosił zarówno młodych, jak i uznanych sportowców.

- Cześć, Becky! - przywitał Axel dziewczynę o krótko obciętych rudych włosach i twarzy pokrytej piegami. - Ee... wszystko gra?

Becky obrzuciła go pytającym spojrzeniem. Wyraźnie nie rozumiała, co Axel ma na myśli.

- Tak, ze mną okej! - odrzekła w końcu. - Tylko potwornie źle spałam. Miałam jakieś koszmary... o wilkołakach!

Axel drgnął zaskoczony. Ojciec Becky podniósł głowę i odłożył na talerz trzymaną w rękę grzanekę.

- O czym miałaś koszmary? - spytał ze zdumieniem.

- O wilkołakach! To istoty, które do pasa wyglądają jak wilki, a od pasa jak ludzie. Te potwory.. mnie porwały!

Pan Anderson spojrział z niepokojem na córkę.

- Powiedz no, a może ty oglądasz za dużo horrorów?

- Wcale nie, tatusiu.

- Wobec tego skąd wiesz o tych istotach? - dopytywał się ojciec.
- Widziałam kiedyś w telewizji taki film, już dawno temu. Nie wiem, dlaczego miałam akurat taki sen.
- Piekielna telewizja - warknął pan Andersen, biorąc z talerza napoczętą grzanekę. Axle poszukał sobie miejsca przy innym stole i usiłował skupić się na śniadaniu, ale nie był w stanie przełknąć ani kęsa.
Czy to w ogóle możliwe, żeby dwie osoby miały identyczny sen?
Nie, nie uważał tego za możliwe, a zatem coś musiało się za tym kryć. Axel czuł się straszliwie osamotniony bez swoich przyjaciół. Jak miał prowadzić śledztwo a jednocześnie osiągnąć dobry wynik w dzisiejszych zawodach?

ROZDZIAŁ CZWARTY: Ratunku, jestem wilkołakiem!

Tego wieczora Axel po raz pierwszy nie stanął na podium. Zajął szóste miejsce, co go okropnie rozczarowało. Nie martwiła go wyłącznie przegrana, lecz także zaprzepaszczenie szansy na przyjazd trójki przyjaciół.

- Hej, nie miej takiej smutnej miny! - pocieszał go Chomik, strzelając głośno palcami. - Dalej zajmujesz drugie miejsce w klasyfikacji ogólnej, a jeśli jutro znowu zdobędziesz medal, to jestem przekonany, że oferta będzie wciąż jeszcze aktualna.

Gdy Axel późnym wieczorem wsunął się do swojego namiotu, był śmiertelnie zmęczony. Ledwie zapiął śpiwór, a już spał głębokim, mocnym snem.

Raptem wzdrygnął się gwałtownie i otworzył oczy. Miał uczucie, że spał zaledwie kilka sekund, a mimo to nie odczuwał już znużenia. Zupełnie jakby to sobie dawno zaplanował, wskoczył w szary dres i wymknął się z namiotu.

Na zewnątrz przywitało go blade światło księżyca. Axelowi wydawało się ono ciepłe niczym promienie słońca. Rozejrzał się dookoła, by się upewnić, że nikt go nie śledzi, po czym powoli ruszył w stronę lasu.

Z oddali dobiegało ponaglące wycie. Tym razem Axel nie odczuwał strachu. Wprost przeciwnie, uważał je za uspokajające i przyjemne.

Gdy dotarł już do ostatnich namiotów, zauważył, że w drogę wybrał się oprócz niego jeszcze ktoś, kto biegł teraz ze trzydzieści metrów przed nim.

Postać była niezbyt wysoka, zatem mógł to być jeden z juniorów, którzy brali udział w dziesięcioboju. Ten ktoś miał wąskie barki i biegł pochylony. Wydawało się, że czegoś szuka, lecz po chwili Axel stracił go z oczu.

Młody detektyw śpieszył do lasu.

Tuż obok niego coś zaszeleściło w zaroślach, a on z przerażeniem odwrócił się w tamtą stronę.

- Axel, to ty?

Naprzeciw niego stała Becky. Oboje jednocześnie poczuli, że właściwie nie wiedzą, dlaczego się tu znaleźli.

- No tak... ja... obudziłem się nagle i... zachciało mi się iść do lasu. A ty?

- Ja... tak samo!

Wycie w oddali stało się głośniejsze i jeszcze bardziej ponaglące.

- Becky, to nie był żaden senny koszmar! Wczoraj w nocy oboje byliśmy w lesie. Miałaś przy sobie zaproszenie na piknik w świetle księżyca, a potem nadeszły wilkołaki...

Dziewczyna wzdrygnęła się, jakby nie chciała sobie o tym przypominać.

- Axel, to niemożliwe. Obudziłam się rano w swoim namiocie. Nigdzie nie wychodziłam!

- Wobec tego co tu teraz robisz?

Becky nie znalazła na to odpowiedzi. Podbiegła do Axela i chwyciła go za rękę.

- Chodź, wracajmy! Odprowadź mnie do namiotu... proszę... ja się boję!

"Ja też - pomyślał Axel. - Tylko kto mnie odprowadzi?"

Oboje już chcieli się odwrócić i pobiec z powrotem do namiotów, gdy dookoła nich coś głośno zaszeleściło. Becky i Axel przywarli ciasno do siebie na widok wilkołaków, które spod nastroszonych brwi gapiły się na nich pozbawionymi blasku oczami.

Nagle strach dzieci gdzieś się ulotnił. Oboje poczuli, że są wśród przyjaciół. Chwycili owłosione łapska, które wyciągnęły się w ich stronę, i pozwolili się poprowadzić dalej w głąb lasu.

Znaleźli się przy znanym sobie z wczorajszej nocy ognisku. Tym razem jednak nie zostali związani, tylko z własnej woli usiedli na dwóch dużych, stojących przy ogniu kamieniach. Wszystko wydawało im się nierzeczywiste, mieli uczucie, że obserwują całą sytuację z boku.

Tak jak poprzedniej nocy wystąpił naprzód potężny wilkołak w znów wysypał zawartość drewnianej miski w płomień. Były to liście i żdźbła, które płonęły błyskawicznie, tworząc chmurę gęstego dymu, pachnącego jeszcze bardziej oszałamiająco niż wczoraj słodką wonią kwiatów i ziół.

- Nie, nie chcę... nie! - krzyczał Axel.

Wilkołaki zaciągnęły go z lasu na opuszczony cmentarz i zmusiły, żeby przelazł przez mur, po czym zawlokły go do odkrytego grobu.

Axel wiedział dlaczego. Wilkołaki czasami rozkopują groby i pożerają wyciągnięte z nich zwłoki. Ale on nie był przecież wilkołakiem i nie chciał tego robić.

W tej samej chwili Axel odkrył futro na przedramionach i grzbietach dłoni. A nawet mógł obserwować, jak włosy wyrastają mu ze skóry.

- Nie! Nie! Ja nie chcę! Neeee! - znów wrzasnął przeraźliwie.

- Obudź się, mały! Hej, obudź się! - Przykucnięty obok Axela Chomik potrząsał go za ramiona. Bardzo powoli Axel powracał do normalnego świata, gapiąc się na trenera niczym na przybysza z kosmosu. - Musiałeś mieć jakiś straszny sen - stwierdził pan Winter, gestem pokazując zmięty śpiwór, przy którym znów leżał porządnie złożony dres Axela.

- To fakt! - mruknął chłopak, przyglądając zmierzwioną czuprynę.

Pośpiesznie obmacał ramiona i dłonie. Spoko, żadnego futra, wszystko zupełnie normalnie!

- Co z tobą, chłopcze? Aż tak się przejąłeś tym, że nie wygrałeś wczoraj? - spytał z troską w głosie Chomik.

Axel wyjąkał coś w stylu: "nie wiem... chyba się na noc przejadłem" i pośpiesznie wymknął się z namiotu.

Ruszył do baraku kąpielowego, przed którym stała biała furgonetka z niebieskim napisem "Blanc", co znaczyło "biel" i było firmową nazwą pralni dostarczającej zawodnikom świeże ręczniki.

Tego ranka Axel był tak skołowany, że zostawił w namiocie swój ręcznik i przybory do mycia. Nie chciało mu się po nie wracać, więc postanowił pożyczyć szampon od któregoś z kolegów, a czysty ręcznik wziąć sobie z furgonetki.

Nie czekał na wyłożenie ręczników w przedsionku baraku z prysznicami, tylko sam otworzył tylną klapę auta. W środku leżały stopy niebieskich i białych kombinezonów roboczych, co zdziwiło Axela.

Znienacka kombinezony poruszyły się i ktoś zza nich wychynął. Młody detektyw nie

potrafił rozpoznać, czy to była kobieta, czy mężczyzna, za to bez wątpienia był to przedstawiciel gatunku ludzkiego.

- C... co...! - wyjąkał chłopak i cofnął się raptownie. Obok niego wyrósł jak spod ziemi kierowca furgonetki. - Tam... tam ktoś się schował! - zawołał Axel.

Mężczyzna zatrzasnął tylną klapę i warknął:

- Ty coś bredzisz, mały. Lepiej nikomu o tym nie mów, bo cię wyśmieją!

Jednak Axel miał niezbitą pewność, że w środku kryje się tajemniczy pasażer. Mimo to, skołowany wydarzeniami ubiegłej nocy, postanowił zgodnie z radą trzymać buzię na kłódkę. Być może oczy i bujna wyobraźnia naprawdę splątały mu figła. Nie miał pojęcia, co o tym wszystkim sądzić.

Wziął długi, gorący prysznic, a potem lodowato zimny, aby odzyskać jasność umysłu. Gdy wycierał się ręcznikiem, był już absolutnie pewien, że nic mu się nie przyśniło. Obudził się w nocy, wyszedł z namiotu i spotkał Becky. Oboje byli w lesie przy ognisku wilkołaków.

Ale jak to możliwe? Czyżby wilkołaki istniały naprawdę i miały go w swojej mocy? To przecież jakiś absurd, prawda?

Tym razem to Becky chciała z nim porozmawiać. Po śniadaniu podeszła do niego i cicho zapytała:

- Axel... czy byłeś wczoraj w nocy w lesie? Ze mną i z wilkołakami? Czy też znowu tylko mi się to śniło?

Axel potrząsnął głową.

- Ale jak to...? Przecież nie opuściłabym miasteczka, a już na pewno nie po to, żeby łązić do tych strasznych istot. Opowiem to tacie. Na pewno mi pomoże.

- Nie uwierzysz mi i będzie się upierał, że oglądasz za dużo telewizji - mruknął Axel.

- Możemy zapytać doktor Moss, co się z nami dzieje! - zaproponowała Becky.

Ten pomysł spodobał się Axelowi znacznie bardziej.

Doktor Moss była wyjątkowo atrakcyjną młodą kobietą. Nikt nie brał jej za lekarkę, wyglądała raczej na modelkę. Miała długie, jedwabiste włosy, perfekcyjny makijaż i szczupłe nogi i gdyby tylko zechciała, kariera modelki stałaby przed nią otworem.

Był tylko jeden mały problem - na tej twarzy wiecznie malował się grymas cierpienia.

Zaimprovizowana przychodnia lekarska znajdowała się w dużym namiocie, na którym widniał czerwony krzyż w białym kole. Zadanie doktor Moss polegało nie tylko na kurowaniu ewentualnych kontuzji, lecz także na przeprowadzaniu testów antydopingowych.

Za pierwszym razem Axel czuł się bardzo głupio, gdy przed rozdaniem medali musiał nasiusiać do próbówki. Chomik wytłumaczył mu jednak, że test pozwoli stwierdzić, czy zwycięzca nie wziął czasem specjalnych tabletek. Chodziło tu zwłaszcza o pigułki, które sprawiają, że sportowiec w krótkim czasie staje się zdolny do zwiększonego wysiłku. Niestety, w dłuższej perspektywie takie leki mogą przysparzać poważniejszych problemów zdrowotnych.

Becky i Axel byli bardzo ciekawi, co powie lekarka. Czy byli na coś chorzy? Co się właściwie z nimi działo?

Gdy weszli do namiotu sanitarnego, na spotkanie pośpieszyła im jakaś drobna postać. Axel natychmiast ją rozpoznał. To był ten sam facet, który ubiegłej nocy biegał między namiotami!

ROZDZIAŁ PIĄTY:

Głowa w kształcie flaszki

Za dnia osobnik prezentował się niewiele lepiej. Był niewysoki, miał dziwnie podłużną głowę z wielkim nochem, szeroką szyję i niezwykle wąskie barki. Stanowił zaprzeczenie stereotypu sportowca.

- Jestem Igor, asystent doktor Moss! - przedstawił się mężczyzna.

Przez ułamek sekundy Axel myślał, że wybuchnie śmiechem. Tak samo nazywał się przecież pomocnik doktora Frankensteina!

- Czy chodzi o świeżą kontuzję? Jeżeli nie, będziecie musieli przyjść później, bo pani doktor jest teraz zajęta i nie można jej przeszkadzać! - Igor wyraźnie usiłował jak najszybciej spławić dzieciaki.

- Nie chodzi o kontuzję... - zaczął Axel.

- No to przyjdźcie później!

O nie, Axel nie zamierzał pozwolić tak się traktować.

- Chcielibyśmy porozmawiać z panią doktor Moss - powiedział stanowczym tonem.

- To bardzo ważne!

Igor, który zdążył się już odwrócić, spojrzał na niego przez ramię zmrużonymi oczami.

- Dzieciaki są bezczelne i źle wychowane! - syknął. - Po diabła się tu w ogóle zatrudniałem? Do niczego mi to nie jest potrzebne.

Becky popatrzyła dookoła. Gdzie podziewała się lekarka? Cały namiot podzielono za pomocą parawanów na mniejsze pomieszczenia. Było tam małe laboratorium, szpitalik z trzema łózkami, "gabinet zabiegowy" i magazyn.

Becky, która miała nadzwyczaj praktyczny umysł, przykucnęła i zajrzała pod parawany. Między materiałem a podłogą pozostawała duża przerwa, przez którą można było co nieco zobaczyć. Dziewczyna dostrzegła parę damskich pantofelków i dwa duże buty sportowe. A więc doktor Moss była tuż obok, a jeden z dorosłych sportowców zasięgał właśnie jej porady.

- Jazda stąd, no już, wynoście się! - prychnął wściekle Igor, usiłując przegonić dwoje natrętów.

- Chodź, ona jest za parawanem. Sami do niej pójdziemy! - powiedziała Becky i bezczelnie wkroczyła za zasłonę.

Axel ruszył za nią, a za nimi wpadł klnący pod nosem Igor.

W "gabinecie zabiegowym" na Axela i Becky czekała niespodzianka. Doktor Moss i Ben Bennet stali ciasno objęci i namiętnie się całowali. Byli tym tak zajęci, że początkowo w ogóle nie zwrócili uwagi na wtargnięcie dzieciaków. Dopiero głośne złorzeczenia Igora sprawiły, że nagle odskoczyli od siebie.

- Co to ma być?! - krzyknął Bennet, który wyglądał, jakby został nakryty na czymś nielegalnym.

Becky wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- My także jesteśmy chorzy, choć akurat nie z miłości, dlatego musimy na chwilę wyrwać panią doktor Moss z pańskich ramion! - wyjaśniła żartobliwie.

Lekarka roześmiała się głośno, odrzucając na ramię świeżo umyte włosy. Muskularny sportowiec nie wiedział, jak ma się w tej sytuacji zachować, więc postanowił sobie pójść. Już prawie opuścił namiot, gdy nagle odwrócił się na pięcie, podszedł do biurka i wziął z niego białą papierową saszetkę, którą pośpiesznie wrzucił do kieszeni dresu.

- Chciałem zatrzymać tych gówniarzy, ale są tak bezczelni, że po prostu...! - jazgotał Igor.

- Nic nie szkodzi! - roześmiała się znów lekarka, dając asystentowi znak, żeby się

wycofał. - Co mogę dla was zrobić? - zwróciła się przyjaźnie do Becky i Axela.

Jąkając się, urywanymi zdaniami dzieci zaczęły opowiadać o tym, co im się przydarzyło. Axel nie omieszkał dodać, że przedwczoraj widział Bena Benneta z pałką w dłoni, a potem usłyszał strzał. Wydawało mu się, że jest to istotne.

Lekarka słuchała uważnie, w skupieniu kiwając głową i od czasu do czasu zadając jakieś pytanie. Dzieci skończyły opowiadać i czekały na jej komentarz. Doktor Moss myślała nad czymś przez chwilę, a potem zapytała:

- Powiedźcie mi, czy bierzecie jakieś narkotyki?

Axel i Becky z oburzeniem zaprzeczyli.

- Pijecie może alkohol?

Jak dotąd Axel nie miał najmniejszej ochoty tego próbować, a Becky raz w życiu wypijała łyk szampana, ale wydał jej się obrzydliwy.

- Bardzo mi przykro, ale mogę powiedzieć tylko tyle, że macie zbut bujną wyobraźnię. To jedyne, co mi przychodzi do głowy! - oznajmiła lekarka.

Axel i Becky nie potrafili ukruć rozczarowania, że doktor Moss im nie uwierzyła.

- Axel, wspomniałeś o czymś, co mnie bardzo zdziwiło. Twierdzisz, że przedwczoraj w nocy widziałeś Bena. Według mnie to niemożliwe. Tego wieczoru byliśmy razem. To mój stary przyjaciel, spotkaliśmy się po długim okresie niewidzenia. Ben zaprosił mnie na kolację do restauracji w Barkerville, wróciliśmy dopiero po północy. Chyba około wpół do pierwszej. A skoro ten punkt twojej opowieści się nie zgadza, to trudno mi sobie wyobrazić, żeby było choć zairno prawdy w tej relacji o wilkołakach. Powiedźcie mi, czy bardzo się denerwujecie przed zawodami? - spytała doktor Moss. - Oboje jesteście w czołówce i o ile wiem, zajmujecie drugie miejsce. Dam wam dobrą radę, zapomnijcie o całej sprawie! A teraz do widzenia!

Axel i Becky mieli zrezygnowane miny. Jeśli nawet lekarka im nie uwierzyła, to czy ktokolwiek inny przyjmie poważnie ich słowa?

Zawodnicy byli wolni aż do popołudnia. O trzeciej miała się rozpocząć konkurencja pływania na długim dystansie.

Axel zebrał całą odwagę i pobiegł do lasu. Zamierzał poszukać śladów świadczących o tym, że nie jest kompletnym świrem, ale niczego nie znalazł. Las wydał mu się nagle upiorny i groźny. Chłopak miał wrażenie, że wszędzie czai się jakieś niebezpieczeństwo. Po krótkiej chwili postanowił wracać do obozu.

Gdy poszedł nad jezioro, żeby stanąć na starcie zawodów pływackich, nie był w szczególnej formie. Jednocześnie startowało dziesięciu zawodników. Najlepsza trójka miała walczyć w finale o zwycięstwo.

Rozległ się wystrzał startera i dziesiątka chłopców zeskoczyła z drewnianego pomostu do wody. Gdy Axel znalazł się w chłodnej toni jeziora, poczuł nagle, że wracają mu wszystkie siły. Płynął klasycznym, mocnym kraulem, oddalając się od konkurentów niczym motorówka. W głowie tłukła mu się jedna myśl: "Muszę wygrać", bo wtedy przyjedzie do niego trójka przyjaciół, których tak bardzo potrzebował.

Po dwóch godzinach stało się jasne, że Axel zajął drugie miejsce. Wyprzedził go zawodnik ze Stanów Zjednoczonych, a inny Amerykanin był trzeci. Tego dnia wszyscy Amerykanie zajęli dobre miejsca; wyraźnie pragnęli się odegrać za swój fatalny początek zawodów.

Gdy Axel wyszedł z wody i wytrał się do sucha ręcznikiem, znów musiał nasiusiać do próbki. Przyzwyczał się już do testów i w niczym mu one nie przeszkadzały. Wszedł do namiotu, gdzie doktor Moss naszykowała puste próbki, które Igor opatrwał później nalepką z nazwiskiem "właściciela".

Obaj Amerykanie i Axel niemal jednocześnie postawili na stoliku napełnione próbki. Marszcząc lekko nos, Igor potknął się nieco teatralnie, a stolik szerkom

łukiem poszybował w powietrze.

"To było celowe! On to zrobił umyślnie!" - przeszło Axelowi przez myśl. Asystent przeprosił doktor Moss, a ona z dezaprobatą potrząsnęła głową.

- Moje gratulacje, zaraz skontaktuję się z prezesem. Jeśli wszystko się uda, twoi przyjaciele zjawią się tu już pojutrze! - zawołał radośnie Chomik, klepiąc Axela mocno po plecach.

Chłopak niezmiernie się ucieszył i postanowił zadzwonić do swoich przyjaciół. Podobnie jak on rozpoczęli już letnie wakacje, niemniej jednak musiał im uświadomić, jak pilnie ich potrzebuje.

Axel zebrał całe swoje kieszonkowe i pognął do namiotu biurowego. Stał tam aparat telefoniczny, a obok niego zegar, który podawał informacje, jak długo trwała i ile kosztowała rozmowa. Chłopiec wybrał numer Lilo i niecierpliwie czekał na połączenie. W końcu w słuchawce rozległ się zaspany i mrukliwy głos pani Schroll. Zanim Liselotte podeszła do telefonu, minęła chyba cała wieczność.

- Czyś ty zwariował? - powitała go Lilo.

- Jesteście mi potrzebni! Błagam, przyjeżdżajcie natychmiast! Jestem jakimś wilkołakiem czy czymś w tym rodzaju! - szeptał Axel do słuchawki, zakrywając ją obiema dłońmi w obawie, że ktoś go podsłucha.

- Axel, u nas jest trzecia w nocy, czyś ty kompletnie oszalał? - warknęła rozespana członkini Klubu Detektywów.

Kurczę, zupełnie zapomniał o dziewięciogodzinnej różnicy czasu między Europą a Kanadą!

- Posłuchaj, jutro dostaniecie zaproszenie i musicie natychmiast przyjechać! - błagał szeptem Axel.

Nie było czasu na dalsze wyjaśnienia, ta rozmowa i tak kosztowała go już majątek.

Rozłączył się, a po drugiej stronie kabła została kompletnie oszołomiona Lilo. Jej kumpel musiał dostać czymś ciężkim w głowę, inaczej nie potrafiła sobie wytłomaczyć tego telefonu.

Axel z obawą oczekiwał nadejścia nocy. Co się tym razem wydarzy?

ROZDZIAŁ SZÓSTY: Zniknięcie Igora

Z uroczystości rozdania medali Axel niewiele zapamiętał. Nieobecny duchem stał znowu na drugim stopniu podium obok Bena Benneta. Amerykanin był w znakomitym humorze i zachowywał się znacznie sympatyczniej niż rano. Uśmiechał się, cieszył ze złotego i brązowego medalu swoich rodaków i przyjaźnie gratulował Axelowi.

Młody detektyw nie mógł zrozumieć, dlaczego Ben Bennet reklamuje na koszulce, spodniach i opasce na czoło pewien sok owocowy, który zdaniem Axela smakował jak płyn do mycia naczyń. Słynny sportowiec otrzymał podobno miliony dolarów za zdjęcia na plakatach i telewizyjne spoty reklamowe, zatem, co zrozumiałe, musiał nosić logo firmy również na odzierzy sportowej. Axel uważał to jednak za nachalne i śmieszne.

Tej nocy chłopak w ogóle nie mógł spać. Już o dziesiątej wieczorem w namiotowym miasteczku zapadła kompletna cisza. Wszyscy nabierali sił przed kolejnym dniem zawodów.

Mając dość przewracania się z boku na bok, Axel wyczołgał się z namiotu. Noc była wyjątkowo ciepła, więc nie włożył dresu. Zaczął bez celu krążyć między namiotami.

Zaraz! Czy to czasem nie Igor, tam po drugiej stronie? Księżyc wydawał się jeszcze

jaśniejszy niż zwykle, oświetlając teren obozu lepiej niż rozstawione co kilka metrów latarnie.

Axel nie miał już dłużej wątpliwości - zgięty w pół, jakby za wszelką cenę pragnął się ukryć przed wzrokiem niepowołanych świadków, między namiotami przemykał Igor. Młody detektyw postanowił go śledzić. Facet najwyraźniej miał coś do ukrycia, więc Axel musiał się koniecznie dowiedzieć, co to takiego.

Cel Igora bardzo szybko stał się całkowicie jasny - asystent zmierzał do namiotu sanitarnego, co mocno rozczerowało Axela. Kto wie, może miał tam jeszcze coś do zrobienia. Wyglądał przecież na takiego, co lubi się wykazać.

Tylko dlaczego się skradał? Czemu zwyczajnie tam nie poszedł?

Asystent doktor Moss rozejrzał się kilkakrotnie na wszystkie strony. Kiedy się upewnił, że nikt go nie obserwuje - Axel znalazł sobie, rzecz jasna, świetną kryjówkę - otworzył kłódkę i odsunął żelazne sztaby zabezpieczające wejście do namiotu.

Igor wsunął się do środka zwinnie jak łasica. Axel odczekał chwilę, po czym, starając się poruszać bezszelestnie, zastosował tę samą sztuczkę co wcześniej Becky - ukląkł i zajrzał pod parawany.

Tam! Promień światła! Igor musiał się znajdować w części laboratoryjnej.

Nagle Axel wstrzymał oddech - jego uszu dobiegł głos czyichś kroków. Na czworakach wczołgał się pod biórko. Zdarzył jeszcze ustawić przed sobą prowizoryczną zasłonę z wiklinowego kosza na papiery i krzesła, gdy ktoś wszedł do namiotu.

W panujących ciemnościach nie dało się rozpoznać przybysza. Axel bał się poruszyć w obawie, że zostanie odkryty. Wstrzymał oddech, czując, jak krew pulsuje mu w uszach.

Tajemniczy osobnik zatrzymał się w miejscu. Zza parawanu, za którym znajdował się Igor, dochodziły szelesty i brzęki szkła. Nieznajomy szybkim krokiem skierował się w tamtą stronę. Rozległ się stłumiony odgłos uderzenia i głuchy jęk Igora.

Coś trzasnęło i z brzękiem posypało się szkło.

Axel pocił się tak silnie, że słone krople spływały mu z czoła na nos i wargi.

Tajemniczy przybysz w wielkim pośpiechu wybiegł z namiotu.

Axel nie śmiał opuścić swojej kryjówki jeszcze conajmniej przez pięć minut. W końcu wyczołgał się spod biurka, walcząc z chęcią natychmiastowej ucieczki. Chyba powinien jednak zajrzeć do laboratorium, gdzie leżał nieprzytomny Igor. Ale przecież... asystent mógł być martwy! Przed oczami Axela zatańczyły obrazy okropnych, krwawych ran.

"Idioto, musisz mu pomóc!" - skarcił siebie w myślach. Chwycił swoją dużą latarkę, którą na szczęście miał przy sobie, i postanowił w razie potrzeby użyć jej do obrony.

Na palcach zbliżył się do parawanu, za którym było pomieszczenie laboratoryjne, i ostrożnie tam zajrzał.

Na podłodze leżała włączona latarka. Obok stała zamknięta metalowa kastka, przy której ktoś majstrował śrubokrętem. Na stole było kilka rozbitych próbek i pusta kartoteka. Igor zniknął bez śladu. Po prostu wyparował!

Axel czym prędzej opuścił namiot medyczny i biegiem wrócił do siebie. Wczołgał się do namiotu i ze wszystkich sił starał się uspokoić, ale na próżno.

Co to wszystko miało znaczyć? O co tu w ogóle chodziło?

Z oddali dobiegło znajome wycie wilkołaków. Axel z przerażeniem zauważył, jak to na niego podziałało. Przeciągłe dźwięki wyraźnie go ucieszyły, coś go do nich ciągnęło. Błyskawicznie wskoczył w dres i znów opuścił namiot.

Tarcza księżycy była tej nocy idealnie okrągła. Axel zatrzymał się i długo na nią patrzył, jakby miał zamiar się opalać. Kilka razy odetchnął głęboko i ruszył biegiem w

kierunku lasu. Chciał tego i w tej chwili nie miał żadnych wątpliwości, że to, co robi, jest właściwe.

Tym razem doskonale już wiedział, dokąd zdąży, a w połowie drogi natknął się na Becky. Uśmiechnęli się do siebie i chwyciwszy się za ręce, pobiegli dalej.

Wilkołaki już na nich czekały, a w drewnianej misie znajdowała się już nowa porcja magicznych ziół.

Axel znów nie miał pojęcia, jak wrócił do swojego namiotu. Nawdychawszy się wonnych oparów, zwyczajnie stracił przytomność.

Tym razem przeżywał koszmar nie we śnie, lecz na jawie. Czuł, że wilkołaki - kimkolwiek były - mają go w swej mocy. Ich wycie w połączeniu z jasną tarczą księżycy zdawało się go magicznie przyciągać. Axel chciał się przed tym bronić i za dnia potwornie się bał kolejnej nocy, a za razem cieszył się na to, co miało niechybnie nastąpić.

Przeszył go zimny dreszcz, jeżąc mu włosy na karku. Chciało mu się płakać, przede wszystkim dlatego, że wiedział, iż nikt mu nie uwierzy.

Po śniadaniu Becky chwyciła go za rękę i pociągnęła za sobą. Miała głębokie cienie pod oczami; wyznała Axelowi, że powiedziała o wszystkim ojcu, który najwyraźniej jej nie uwierzył, niemniej jednak postanowił, że córka nie będzie już dłużej spała w namiocie.

Dom pana Andersena i jego latorośli - matka Becky zginęła przed kilkoma laty w wypadku samochodowym - znajdował się w odległości kilometra od obozu. Był to duży, okazały budynek, w którym Becky czuła się bezpiecznie.

- Ale... co będzie, jak się wściekną, że nie przysłaś? Mogą mi zrobić coś złego! - wyjąkał bojaźliwie Axel.

Becky zwiesiła nisko głowę.

- Dłużej tego nie wytrzymam! To takie dziwne, a ja czuję, że... że muszę to zrobić. To okropne. Może tata pozwoli, żebyś spał w pokoju gościnnym?

Ojciec Becky nie miał nic przeciw temu, choć żartował sobie nieco z dziwacznych lęków dwojga przyjaciół. Ich rozmowę przerwało wejście doktor Moss.

- Przepraszam pana, czy mój asystent zgłaszał panu, że jest chory? Nie pojawił się dzisiaj w pracy! - zwróciła się do pana Andersena.

Axel miał właśnie wyjść od Becky, by przygotować się do dzisiejszych zawodów, ale teraz się zawahał. Czy powinien zdradzić, że wczorajszej nocy był w namiocie medycznym?

ROZDZIAŁ SIÓDMY: Żrąca ciecz

"Tak, zrobię to" - postanowił, odwracając się i podchodząc do ojca Becky, który rozmawiał z doktor Moss. Cichym głosem zdał im relację z wydarzeń ubiegłej nocy, których był świadkiem.

- Poszedłeś wczoraj do mojego namiotu? To znaczy do sanitarnego? - zapytała z oburzeniem doktor Moss. - Skąd wzięłeś klucz?

- Przecież już mówiłem. To Igor otworzył kłódkę. Poszedłem za nim, ktoś go uderzył, a zaraz potem Igor zniknął!

- Dzieci, dzieci, kompletnie was nie rozumiem. Macie doprawdy niesamowicie bujną wyobraźnię! - Pan Anderson z ubolewaniem potrząsał głową. Następnie zwrócił się do doktor Moss: - Poszukam Igora i wyślę go do pani. Może po prostu zasnął.

Niestety, zaginionego asystenta nie udało się odnaleźć.

Axel odetchnął z ulgą, gdy Chomik oznajmił mu radośnie, że jego przyjaciele z Klubu Detektywów przylecą do Kanady jutro rano. Na szczęście wszystko poszło gładko.

Poza tym kolejne dwa dni miały być wolne od zawodów, gdyż sportowcom należał się zasłużony odpoczynek.

Zaplanowana na dzień dzisiejszy rywalizacja w skoku w dal przebiegła dla Axela raczej pomyślnie, chociaż zajął dopiero trzecie miejsce i przesunął się o oczko w dół także w klasyfikacji ogólnej. Nie przejął się tym zbytnio w przeciwieństwie do Chomika, który białł nad pogrzebanymi szanasmami na medal za punktowane miejsce w dziesięcioboju.

Po południu Becky zaprosiła Axela na wycieczkę rowerową. Chłopak wiedział, że jego trener nie zgodziłby się na to, więc postanowił wcale nie pytać go o zdanie.

- Wiesz, że przed stu laty rojło się tu od poszukiwaczy złota? - spytała Becky, gdy wąską dróżką wjeżdżali na wzgórze.

- Poważnie? - zdziwił się Axel.

- No tak, nad brzegiem rzeki znajdowało się grudki złota wielkości kamieni.

Przyciągało to mnóstwo poszukiwaczy, którzy płukali rzeczny pisaek, mając nadzieję, że znajdą taką grudkę. Widziałam to w muzeum w Barkerville. To stare miasto poszukiwaczy złota, chociaż ich samych już tu nie ma, wszystko przypomina raczej skansen.

- Gdzie teraz jedziemy? - spytał zadyszany Axel. - Wiesz, że nie powinniśmy się za bardzo forsować, a to wzgórze jest dość wysokie.

- Nic ci nie będzie, mięczaku! - zakpiła Becky. - Chcę ci pokazać starą kopalnię złota. Duża część się już zapadła, ale być może uda nam się odnaleźć bajecznie wielkie żyły kruszcu, o których opowiadają legendy. Nikt nie wie, gdzie one są, ale ludzie wciąż jeszcze o nich mówią.

Pół godziny później zalani potem rowerzyści dotarli do wąskiej, wydeptanej ścieżki.

- Dalej musimy iść pieszo! - wyjaśniła Becky, opierając o drzewo swój rower górski z osiemnastopniową przerzutką.

Rower, który pożyczyła dla Axela od ojca, był równie wypasiony i miał jeszcze lepszą przerzutkę.

Oboje zaczęli się przedzierać przez gęste zarośla i po pewnym czasie dotarli do wiszącej nad przepaścią skały. Poniżej znajdowało się zabezpieczone deskami wejście do wykopu. Duże czerwone litery ostrzegały przed wchodzeniem do środka.

- Spoko! Nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Byłam tam już wiele razy - oświadczyła Becky.

Odunęła dwie poluzowane deski i precyzyjnie się zwinęła przez wąski otwór. Axel ruszył za nią.

Musieli iść zgięci w pól, bo korytarz był bardzo niski. Promienie ich latarek migotały w ciemnościach niczym długie kije. Na ścianach i suficie widać było wyraźnie ślady, pozostawione przez prymitywne oskardy dawnych górników. Ciekawe, czy udało im się tu znaleźć dużo złota?

Gdy Becky i Axel byli już mniej więcej sto metrów od wejścia do sztolni, w nozdrza uderzył ich przenikliwy, żrący i gryzący odór. Śmierdziało tak silnie kwasem i ługiem, że przez moment nie mogli oddychać i dostali napadu kaszlu. Zasłonili sobie nosy brzegiem T-shirtów, ale to nic nie pomogło.

- Szybko, uciekajmy! - wrzasnął Axel, który podejrzewał obecność trujących gazów.

Skądś z tyłu dobieło ich głośnie bulgotanie. Ów dźwięk stawał się coraz wyraźniejszy, a smrodliwy odór nie pozwalał oddychać.

- Czy przeżyłaś już kiedyś coś takiego? - wymamrotał Axel.

Becky w milczeniu potrząsnęła głową, czując, że za chwilę zwymiotuje.

Axelowi wydawało się, że z korytarza płynie ku nim woda. Sądząc po ohydnych zapachy, nie chodziło jednak o wodę, lecz o jakąś trującą ciecz.

"Chwileczkę, może to naturalne źródło siarki. Coś takiego mają w niektórych sanatoriach. Tam też tak potwornie śmierdzi!" pomyślał nagle Axel.

Część korytarza, którą mieli za sobą, schodziła dosyć stromo w dół. Teraz musieli się wspinać z powrotem w górę, co wcale nie było takie łatwe. Korytarz był śliski, co chwila oboje wpadali w głębokie dziury.

Szum i bulgotanie za nimi stało się teraz tak głośne, jakby ktoś tuż obok odkręcił kran. Axel przystanął i odwrócił się, oświetlając latarką korytarz. Zobaczył spienioną, metną ciecz, która podnosiła się coraz wyżej i prawdopodobnie zalała już dolną część sztolni. Syczała i dymiała na kamieniach, a tam gdzie dotknęła ścian, odrywały się od nich fragmenty skał.

- Szybciej, Becky! Chodź szybciej! To jakieś diabelskie źródło! Uważaj! Ta ciecz jest silnie żrąca, jak w nią wdepniemy, będziemy mogli pożegnać się ze stopami! - krzyknął.

Pośpieszyli dalej, najszybciej jak mogli. Wiele razy potykali się i upadali, zdzierając sobie do krwi skórę z kolan i dłoni. Usiłując zachować równowagę, z najwyższym trudem przedzierali się naprzód, a ohydny smród kąsał ich nozdrza.

W starej kopalni zaczynało brakować powietrza, a wyjścia jeszcze ciągle nie było widać. Becky dostała takiego napadu kaszlu, że ledwo ustała na nogach. Axel podtrzymał ją i ciągnął za sobą. Gdy raz niefortunnie wziął w płuca zbyt duży haust powietrza, omal się nie udusił od żrących, chociaż niewidzialnych oparów.

Zaczął się krztusić tak mocno, aż łzy napłynęły mu do oczu i miał wrażenie, że na szyi zaciska mu się dławiąca pętla.

- Ratunku! Pomocy! - wycharczała Becky, ale któż miałby ich usłyszeć?

Oboje osunęli się na kolana i na czworakach pełzli przed siebie.

- Idziemy dalej... nie wolno nam się poddawać! - wydyszał Axel. - Musimy się stąd wydostać! Chodź!

Nagle policzki owiało im świeże, ciepłe powietrze. Axel poniósł wzrok i ujrzał przed sobą zakryty deskami otwór. Z trudem wstał i pomógł podnieść się Becky. Potykając się, dobiegli do wyjścia i wreszcie pozostawili za sobą trujące wyziewy.

Wydostali się z kopalni, usiedli na miękkim dywan mchu, wdychając w płuca ożywcze powietrze i zaczęli normalnie oddychać. Z kopalni nie dochodził żaden odgłos, a gdy Axel zaświecił tam latarką, po niebezpiecznej, żrącej cieczy nie zostało ani śladu.

- Czy coś takiego już ci się kiedyś przydarzyło? - spytał Axel nieco bardziej opanowanym tonem.

- Nie, nigdy - potrząsnęła głową Becky. - A co to w ogóle było?

Axel nie miał żadnego sensownego wyjaśnienia. Być może naprawdę chodziło o podziemne źródło, które nagle zaczęło kipieć. Wiedział, że takie źródła znajdują się wokół wulkanów, jednak nigdy nie słyszał, żeby były aż tak trujące i niebezpieczne.

- Chodź, wracamy! - zaproponował, ciesząc się na myśl, że mają przed sobą długi, nie wymagający wysiłku zjazd w dolinę.

Wiatr będzie swistał mu w uszach, a on zajmie się podziwianiem wspaniałego widoku, który rozpościerał się przed jego oczami - jezioro, rzeka, las i góry dookoła.

Wsiedli na rowery i ruszyli w dół. Przez chwilę jechali obok siebie, rozmawiając o okropnej przygodzie, jaka ich spotkała, ale wkrótce Axel prześcignął Becky.

- Hej, nie pedź tak! Zaraz będą zakręty! - zawołała za nim ostrzegawczo.

Ścieżka była wąska i niezabezpieczona, a po obu jej stronach ciągnęły się głębokie przepaście.

Axel dziwił się trochę, dlaczego jego rower jest taki szybki, przecież nieustannie hamował. Ponieważ czuł, że traci kontrolę nad niesfornym pojazdem, mocno zacisnął palce na obu hamulcach. Rezultat go przeraził; uchwyty puściły, uderzając z brzękiem o kierownicę. Hamulce nie działały. Linki musiały być zerwane, a rower nie miał hamulca nożnego.

Przed Axelem pojawił się pierwszy ostry zakręt.

ROZDZIAŁ ÓSMY: Kto to był?

Axel chciał początkowo zeskoczyć z roweru, ale zrezygnował z tego zamiaru. Pędził już z taką prędkością, że mógłby nawet skrócić sobie kark.

Nie hamując, gnał do zakrętu, za którym ziała otchłań przepaści.

- Axel, zwariowałeś? - ryknęła przerażona Becky.

Chłopak z całych sił ścisnął kierownicę roweru, usiłując nie stracić nad nim kontroli. Przeszło mu przez myśl, żeby wysunąć stopę do przodu i mocno nacisnąć butem na szprychy; może udałoby się w ten sposób zahamować.

Nie, lepiej nie. Czubek buta mógłby się łatwo dostać między szprychy, a wtedy przednie koło by się zablokowało, Axel zaś wysokim łukiem pofrunąłby prosto w przepaść.

A może ściąć zakręt... tak jak na nartach. Niestety, wiedział, że tempo jest już zbyt szybkie. Prawdopodobnie zwałiby się z drogi prosto w dół.

Musi coś zrobić, groźna serpentyna była coraz bliżej. Przy tej prędkości dojedzie do niej w kilkanaście sekund.

Zeskoczy! Nie ma innego wyjścia!

Uniósł się już na siodelku, gdy nagle wpadł mu do głowy pewien pomysł. Usiadł z powrotem i wyciągnął prawą nogę do tyłu. Udało mu się dosięgnąć opony, więc nacisnął na nią z całej siły. Czubek buta natychmiast mocno się rozgrzał, a na skutek nierówności terenu Axel omal go nie stracił. Zagryzł zęby i naciskał z jeszcze większą siłą. Miał wrażenie, że but mu się zapalił, ale niewątpliwie rower zwolnił. Axel odważył się teraz wykorzystać drugą nogę, by jeszcze bardziej wzmocnić siłę hamowania.

Dojechał do zakrętu. Gwałtownym ruchem przeniósł nogi z powrotem w przód i w narciarskim stylu zarzucił rowerem. Tempo było teraz na tyle wolne, że udało mu się w końcu zatrzymać. Po lewej stronie, w odległości nie większej niż pół metra, znajdowała się krawędź drogi. Axel zajrzał w przepaść i głośno przełknął ślinę.

Tego upadku z pewnością by nie przeżył.

- Żyjesz? - spytała cicho Becky z twarzą zastygłą ze zgrozy.

Axel wolno pokiwał głową. Dopiero teraz uświadomił sobie, że oto przed chwilą znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Zaczął się gwałtownie trząść. Wstał i obejrzał linki hamulcowe. Były to metalowe wiązki kabli skręcone z wielu mocnych drucików. Wyraźnie było widać, że ktoś je nadpiłował. Z każdej strony trzymał tylko jeden cieńki drucik. Mocny nacisk spowodował, że linka pękła.

Axel szybko sprawdził rower Becky. Jej linki również były nadpiłowane, chociaż nie tak dokładnie jak jego. Wytrzymałyby jeszcze kawałek drogi.

- Lepiej będzie, jak poprowadzimy rowery! - odezwał się Axel nieswoim głosem.

- Kto... kto to zrobił? I dlaczego? - wyjąkała zaszokowana Becky.

Axel nie znał odpowiedzi. Wiedział tylko, że prześladowca musiał ich śledzić. A może majstrował przy rowerach, zanim opuścili teren miasteczka? Bardzo możliwe, bo podczas jazdy pod górę ani razu nie używali przeceź hamulców.

- Od tej chwili musimy bardzo uważać! - oznajmił z naciskiem Axel. - Wpadliśmy w

coś takiego, o czym nie mamy pojęcia, i nie wiemy, o co w ogóle chodzi. Jedno jest pewne... ktoś... próbuje nas załatwić!

Tego wieczoru śmiertelnie znużony Axel z ulgą otulił się miękką, pachnącą kołdrą w pokoju gościnnym Andersonów. Oczywiście powiedzieli ojcu Becky, co się stało, a pan Anderson natychmiast zwołał naradę komitetu organizacyjnego zawodów. Obawiano się, że to któryś z niżej punktowanych sportowców mógł się posunąć do tak podłego zamachu.

Gdyby się udało wyeliminować Axela i Becky, rosły szanse innych zawodników na wejście do pierwszej trójki. Podejrzenie padło na chłopców i dziewczęta, którzy obecnie zajmowali miejsca od czwartego do dziesiątego. Pan Anderson kazał ich wszystkich przesłuchać. Nie miał zamiaru tolerować na swoich zawodach nieczystych zagrywek!

Zanim Axel zasnął, chciał jeszcze trochę poczytać. Rozejrzał się po pokoju gościnnym i podszedł do regału z książkami. Prześlizgiwał się wzrokiem po tytułach, ale niewiele mu to dało, bo wszystkie były po angielsku, a jego znajomość języka była stanowczo niewystarczająca.

Na końcu rzędu natknął się na małą, oprawioną w skórę książeczkę, która nosiła tytuł "Andersonowie".

Była to kronika całego rodu, z którego pochodziła Becky. Książka zawierała stare fotografie i portrety prapraprapradziadków, którzy wywodzili się z Rumunii i dawniej nosili nazwisko Andrescu. Dopiero przed stu dwudziestu lat wielu członków rodziny wyemigrowało do zachodniej Kanady, gdzie się osiedlili i zajęli myślistwem, poszukiwaniem złota i handlem drewnem. Myśliwi i poszukiwacze nie odnieśli sukcesu, powiodło się jedynie handlarzom.

Rodowi Andersonów groziło jednak wymarcie. Pozostał już tylko ostatni męski potomek, ojciec Becky. To on był autorem tej niewielkiej kroniki.

Noc była bardzo ciepła, w pokoju o ścianach wyłożonych drewnem powietrze zrobiło się ciężkie i duszne. Axel otworzył szeroko okno, wpuszczając do środka świeży wieczorny powiew.

Odetchnąwszy z zadowoleniem, położył się wreszcie do łóżka. W tym domu czuł się bezpiecznie.

Spał głęboko, mocno, bez żadnych słów.

W środku nocy, nie wiedząc dlaczego, obudził się raptownie i mrugając oczami, rozejrzał się dookoła. Musiało upłynąć kilka chwil, zanim zrozumiał, gdzie jest i dlaczego leży w tym łóżku.

Przez otwarte okno wpadał jasny blask księżyca, oświetlając pokój.

Wtedy Axel znowu to usłyszał - wycie wilkołaków! Choć znajdował się ponad kilometr od lasu, brzmiało równie wyraźnie, jak poprzedniej nocy.

Wysunął się spod kołdry i podszedł do okna. Wychylił się i spojrzął w dół. Jego pokój znajdował się na pierwszym piętrze, więc skok z tej wysokości uznał za stanowczo zbyt niebezpieczny.

Zachowując się, jakby był zdalnie sterowany, Axel podszedł do łóżka i zerwał z niego prześcieradło. Następnie zdjął poszwę z kołdry i mocno związał ją z prześcieradłem. Całość skręcił kilka razy, żeby powstał solidny sznur, który przymocował do ramy łóżka, a drugi koniec wyrzucił przez okno. Pośpiesznie wskoczył w dżinsy i pulower i po sznurze zszedł do ogrodu.

Ku jego wielkiemu zaskoczeniu Becky już na niego czekała. Uśmiechnęła się z zadowoleniem, pokazując mu swój sznur skręcony z pościeli.

- Ja zrobiłam dokładnie tak samo! - oznajmiła.

Trzymając się za ręce, wybiegli przez bramę i już po chwili z ciemności wychynęły

ruchliwe cienie. Wilkołaki musiały ich wyśledzić i wyszły im na spotkanie. Towarzyszyły im teraz, trzymając się jednak z dala, w bezpiecznym mroku wśród drzew.

- Becky! Becky, wracaj natychmiast! Gdzie ty pędzisz? - dobiegł ich nagle zaniepokojony głos pana Andresona.

Jak na komendę wilkołaki zawyły przeraźliwie, zaś Axel spojrzał na jasną tarczę księżycy i poczuł, że nie zdoła się już dłużej powstrzymać. Uniósł głowę i wydał z siebie wysoki, żalony dźwięk.

- Becky, dziecko, wracaj! Na miłość boską, stój! - krzyknął z rozpaczą pan Anderson.

Boso, w szlafroku ruszył za swoją córką, lecz nie dotarł daleko. Z tyłu podbiegła do niego jakaś wysoka, ciemna postać i trzasnęła go pałką w ciemność. Pan Anderson osunął się nieprzytomny na ziemię.

- I co było potem? - zapytała Lilo.

Czwórka przyjaciół była nareszcie znowu razem. Klub Detektywów w komplecie obradował na trawie przed namiotem Axela. Poppi, Dominik i Liselotte byli strasznie zmęczeni i rozkojarzeni z powodu kilkugodzinnej różnicy czasu, ale ciekawość wzięła górę nad sennością.

Gdy przed południem dotarli na teren obozu, natychmiast spostrzegli, jak żałośnie i blade wygląda ich kumpel. Axel początkowo był dość małowówny i dopiero po pewnym czasie nieco się ożywił.

- Potem... eee... potem... sam nie wiem. Wiem tylko, że wilkołaki znowu spotkały się z nami na polanie. Czekwały na nas, wyły do księżycy i grzebały w ziemi. Znowu siedzieliśmy przy ognisku, a jeden z wilkołaków wrzucił do niego zioła i liście o silnym zapachu. I koniec! Nie mogę sobie nic więcej przypomnieć. Rano obudziłem się tutaj, w swoim namiocie.

- A Becky? Co się z nią stało? - zapytała Lilo.

Axel wpatrywał się przez chwilę w dal, po czym cicho odrzekł:

- Nie wróciła. Jej pokój jest pusty, nie było jej także w namiocie. Zorganizowali takie grupy, które szukają jej w lesie. Teraz wreszcie ci głupawi dorośli nam wierzą, ale kto wie... może już jes za późno.

- Wilkołaki nie istnieją. Ktoś pozwolił sobie wobec was na bardzo kiepski i ponury żart! - oznajmiła chłodno Lilo.

- Posłuchaj no, panno Madralo, dobrze wiem, co się ze mną dzieje każdej nocy, i wiem też, że brzmi to idiotycznie, ale nic na to nie poradzę. Nie potrafię temu zapobiec, a właściwie... wcale nie chcę. To jest najdziwniejsze.

- Las pełen wilkołaków, które podoprzędkowały sobie chłopaka i dziewczynę. Jaki jest sens takiego działania? - zastanawiał się głośno Dominik. - Jaki cel przyświęca tym, potworom? Nigdy dotąd nie skrzywdziły Becky ani Axela, nie próbowały ich pożreć. No tak, nic dziwnego, w końcu interesują je zwłoki. Według moich informacji, które zebrałem przed naszym wyjazdem z Europy, wilkołaki chętnie piją świeżą, jeszcze ciepłą krew...

- Dominik, przestań! - zawołał z obrzydzeniem Poppi.

- Nie, za tym kryje się coś zupełnie innego. To komicznie straszenie ma swoją przyczynę. Zaczęło się od zaproszenia na piknik w świetle księżycy, której dostała Becky. Jeśli się dowiemy, kto jej to wysłał, będziemy znacznie mądrzejsi! - odezwała się Lilo.

Była całkowicie zdecydowana, by odszukać tajemniczego nadawcę.

Prawdziwy detektyw nigdy nie odpuszcza!

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY: Tylko legenda?

W obozie sportowców panowało wielkie poruszenie. Wieść o zagadkowym zniknięciu Becky rozniosła się lotem błyskawicy, wywołując spore zamieszanie.

Sz szczególnie zrozpaczona była drużyna kanadyjskich dzieciąt, która starciła w ten sposób najlpszą i najskuteczniejszą, a przy tym lubianą przez wszystkich zawodniczkę. Wiele osób nie wierzyło w historię o wilkołakach, uważając to za czyjś kretyński dowcip.

Jednak niektórzy sportowcy przypomnieli sobie, że nocami słyszeli wycie wilków. Nikt się tym jednak zbyt nie przejmował, bo wiadano, że w tej części Kanady Zachodniej żyją jeszcze watahy tych drapieźników. W końcy jedynie Becky pochodziła z tej okolicy.

Dziesięciu policjantów przeszukiwało dokładnie cały teren. Udało im się zlokalizować polanę, na której palono ognisko, ale nie było tam żadnych śladów wilkołaków ani dziewczyny.

Policja przesłuchiwała też wszystkich młodych sportowców, bowiem istniało prawdopodobieństwo, że ktoś usiłuje wyeliminować Axela i Becky, którzy zajmowali w zawodach bardzo dobre miejsca. Przypuszczano także, że może inni wybitni juniorzy również mieli kontak z wilkołakami, ale nie udało się niczego na ten temat ustalić.

Lilo nerwowo ugniała czubek nosa. Kim były wilkołaki? Przebranymi ludźmi? A jeśli tak, to kto krył się za okropnymi maskami? Młodzi sportowcy czy może... trenerzy? Czy istniały prawdziwe wilkołaki?

Dominik, który podczas lotu przestudiował dwie mądre książki o wilkołakach, postanowił się włączyć do dyskusji.

- W roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym jedna z amerykańskich stacji telewizyjnych uruchomiła specjalną linię telefoniczną. Widzowie mogli dzwonić i opowiadać o swoich kontaktach z wilkołakami. W ciągu sześciuset tygodni stacja otrzymała ponad trzysta tysięcy telefonów. Dzwoniący twierdzili, że widzieli wilkołaka albo relacjonowali niewyjaśnione przypadki morderstw, w kóre rzekomo były zamieszane wilkołaki. A więc wydaje się, że one jednak istnieją. Możemy tylko mieć nadzieję, że nie zrobiły Becky żadnej krzywdy.

Axel spociał się na samą myśl, jak straszliwego losu uniknął.

-Ale dlaczego wilkołaki zatrzymały Becky, a mnie wypuściły? - spytał lekko drżącym tonem.

Nikt nie umiał mu na to odpowiedzieć. Lilo miała pewne podejrzenia, których jednak wolała na razie nie wyjawiać. Być może zdarzył się po prostu wypadek. Nieprzewidziany wypadek... czy też starannie zaplanowany?

Pan Anderson był zupełnie wykończony. Jego zazwyczaj gładka, starannie ogolona twarz pomarszczyła się tak, że wyglądał dwadzieścia lat starzej.

Gdy młodzi detektywi krótko po szóstej spotkali go na terenie obozu i zaczęli z nim rozmawiać, w jego oczach zalśniły łzy.

- Becky jest wszystkim, co mam. Moi krewni nie żyją, a żona zginęła w wypadku. Te zawody w dziesięcioboju były pomysłem Becky! Strasznie się martwię i... i... czynię sobie gorzkie wyrzuty!

- Dlaczego? - spytał Axel.

- Bo nie potraktowałem poważnie tego, co mi opowiadaliście. Uważałem to

wszystko za... zwykłą legendę.

- Wszystko? Co pan ma na myśli? - spytała czujnie Liselotte.

- Opracowałem niedawno kronikę mojej rodziny i zdołem prześledzić historię moich przodków do roku tysiąc trzysta dześdziesiątego. Natknąłem się przy tym na coś bardzo dziwnego.

- Na co? Panie Anderson, bardzo pana proszę, niech nam pan o tym opowie! - wykrzyknął podekscytowany Axel. - Jesteśmy detektywami, młodymi detektywami - poprawił się szybko - ale już nam się uadło rozwiązać kilka spraw.

Kanadyjczyk miał bardzo sceptyczną minę, lecz mimo to zaprosił całą czwórkę do siebie do domu. Gdy wszyscy wygodnie usiedli, rozpoczął opowiadanie.

- Moi przodkowie pochodzą z Rumunii. Dawniej nazywali się Andrescu.

Axel wiedział już o tym z przekartkowanej poprzedniego wieczoru kroniki.

- Moim krewni mieszkali w pobliżu zanku niejakiego Valda Drakuli. Czy to nazwisko coś wam mówi? - spytał pan Anderson.

Dominik podniósł rękę, zgłaszając się do odpowiedzi tak jak w szkole.

- Ten okrutny i krwiożerczy hrabia jest pierwowzorem postaci Drakuli. Ponoć zwykł kapać się we krwi swoich wrogów - wyrecytował.

Pan Anderson skinął głową.

- Rzekomo tak było, ja jednak uważam to za zwykłą legendę. Podobno dwieście lat temu najstarsza córka rodu Andrescu została uprowadzona przez wilkołaki. Podczas pełni księżyca miała rzekomo zostać natarta czarnoksięskimi maściami i olejkami. Później wilkołaki zawiodły ją do ogniska, z którego unosiły się magiczne opary. Dziewczyna musiała je wdychać, wskutek czego straciła przytomność. Gdy się ocknęła, była zmieniona w wilkołaka. Wróciła do rodzinnego domu, ale krewni jej nie poznali. Próbowali zastrzelić wilkołaka srebrną kulą. I to wielokrotnie, bo dziewczyna wciąż wracała, żeby wyjaśnić rodzinie, co się z nią stało. Dwie kule chybiły celu, lecz trzecia trafiła, przerywając diabelskie zakęcie. Wilcza sierść zniknęła, a wtedy bracia dziewczyny ze zgrozą ujrzeni, kogo naprawdę zabili!

Poppi lekliwie zacisnęła dłonie na piersi, dygocąc cała. Reszta Klubu Detektywów słuchała opowieści z otwartymi ustami. To rzeczywiście przypominało mrozącą krew w żyłach legendę.

- To nie był jedyny przypadek wilkołactwa w naszej rodzinie. Kolejne dwieście lat wcześniej, innymi słowy siedem pokoleń wstecz, wydarzyło się już rzekomo coś takiego. W kronice rodzinnej, którą poleciłem dokładnie przetłumaczyć, znajduje się zapis mówiący o tym, że co siedem pokoleń jedna z córek rodu staje się ofiarą wilkołaków - zakończył pan Andersen. - Ale to przecież nie może być prawda! To przecież tylko legenda! - dodał.

Dominik przełknął głośno ślinę, po czym odważył się zadać pytanie:

- Czy Becky dzieli właśnie soedem pokoleń od ostatniego przypadku wilkołactwa?

Pan Anderson wolno pokiwał głową.

- Czy o tym wszystkim można przeczytać w książce, którą pan napisał? - wtrącił Axel.

- Niezupełnie. Nie chciałem, żeby Becky niepotrzebnie się bała. Jest o tym mowa wyłącznie w moich dokumentach!

Pan Anderson podszedł do regału, gdzie stało co najmniej dwadzieścia grubych skoroszytów. Kilka razy przesunął palcem po nalepkach z tytułami, po czym powoli odwrócił się do czwórki młodych detektywów i wyrzekł z osłupieniem:

- Moje rysunki zniknęły! Ktoś musiał mi je ukraść...

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY:

Gruba czarna owca

Ktoś mocno zastukał do frontowych drzwi.

- Może to policja z najświeższymi wiadomościami - ożywił się pan Anderson, idąc do holu. Młodzi detektywi usłyszeli, że otwiera drzwi. A potem niechętnie i wrogo mruknął:

- Czego tu chcesz?

- Czytałem w gazecie... chcę ci pomóc. Becky jest moją bratanicą! Jestem jej wujem i nie możesz tego zmienić! - zawołał bardzo miękki, przyjemnie brzmiący męski głos.

Wuj? Axel nic z tego nie rozumiał. W kronice było przecież napisane, że pan Anderson jest ostatnim męskim potomkiem rodu.

- Jazda stąd! - ryknął ojciec Becky.

- Nie ma mowy, nigdzie nie pójdę! - upierał się przybysz.

Dochodzące z korytarza odgłosy nie pozostawiały wątpliwości, że mężczyźni zaczęli się ze sobą mocować. Dzieci wypadły z salonu i ujrzały, że pan Anderson stara się wypchnąć za próg intruza. Był to potężny mężczyzna o dużej głowie z krócutko przystrzyżonymi włosami, spod których prześwitywała różowa skóra, i o nalanej twarzy.

- Wynoś się! Nie chcę mieć z tobą do czynienia, ty bandyto! - wrzasnął pan Anderson.

Jego przeciwnik był jednak silniejszy i zdołał utorować sobie drogę do środka. Rzucił ojca Becky na fotel i stanął przed nim na seroko rozstawionych nogach.

- Ty potworze! - krzyknął wściekle. - Jak jeden człowiek może być tak obrzydliwy i podły!

Dominik odchrząknął głośno; nieznajomy wyraźnie nie zdążył zauważyć obecności dzieci.

Teraz podskoczył przestraszony na widok świadków tego zdarzenia.

- Kim jesteście? - spytał groźnie.

- To nie twój interes, Simon, a teraz zjeżdżaj stąd, ale już! - warknął pan Anderson, który stracił już swój nienaganny wygląd: miał zmierzchwione włosy, a jego doskonale dopasowany garnitur rozdarł się w kilku miejscach.

- Okej, rozumiem, jesteście przyjaciółmi Becky! - Mężczyzna nazwany Simonem podszedł szybkim krokiem do dzieci.

Młodzi detektywi natychmiast zauważyli, że nie jest on tłuściochem, tylko górą mięśni. Poruszał się zwinnie, ale w jego ruchach wyczuwało się coś groźnego i napawającego lękiem.

- Nazywam się Simon Anderson, jestem bratem Boba, ojca Becky. Przed dziesięcioma laty zostałem wyklęty przez moją rodzinę, wówczas znacznie liczniejszą, z powodu młodzieńczego błędu. Po pijanemu wdałem się w bójkę z pewnym Indianinem. Chciałem się przed nim popisać swoją siłą, byłem młody, głupi, pełen złości i nienawiści do świata, bo cała rodzina uważała mnie zawsze za parymitywnego osiłka. Indianin został ciężko ranny, stracił oko. Musiałem pójść do więzienia, a kiedy stamtąd wyszedłem, rada rodzinna oznajmiła mi uroczyście, że nie należę już dłużej do Andersonów. A przecież nie jestem bandytą. Popełniłem błąd, za który drogo zapłaciłem, i zawsze starałem się go naprawić. Wiem, że to mój wyrafinowany braciszek stał za wykluczeniem mnie z rodziny, bo marzył mu się cały spadek po naszym ojcu. Jego intryga znakomicie się powiodła, a ja mam nadzieję, że udławi się tymi pieniędzmi. Życie i tak go doświadcza. Najpierw ginie żona, a teraz... ta sprawa z Becky. Ale przecież ona jest jeszcze dzieckiem, nic nie może poradzić na to, że jej ojciec ma serce z kamienia!

Młodzi detektywi stali wciąż jak wrośnięci w ziemię, z uwagą słuchając rozniewanego mężczyzny. Pan Anderson z trudem podniósł się z fotela i podszedł do Simona. Chwycił go z tyłu za kurtkę i zaczął ciągnąć do drzwi.

- Wynoś się stąd i żebym cię tu więcej nie widział!

- Bob, zapłacisz za swoje draństwo i podłość, zaobaczysz. Lepiej zmień swoje życie! - krzyczał Simon.

Wtem z ciemności dobiegł odgłos wystrzału.

W salonie zabrzęczała stłuczona szyba.

Pan Anderson zatrzasnął drzwi i zamknął je na wszystkie zamki. Jego brat nadal znajdował się wewnątrz domu.

- Strzelają do mnie! - jęknął ojciec Becky. - Ktoś chce mnie zamordować!

Przerażone dzieci rzuciły się na podłogę. Po chwili zaczęły się wolno podnosić.

Lilo na czworakach popelzła do salonu i uważnie obejrzała stłuczoną szybę. Zerknęła na przeciwległą ścianę i przełknęła głośno ślinę - w drewnianej belce tkwiło coś błyszczącego.

Na razie Liselotte obawiała się wyprostować. Szalony strzelec mógł ponownie nacisnąć na spust.

Usłyszała, że drzwi wejściowe gwałtownie się otwierają i Simon wrzeszczy w szeptem zapadający zmierzch:

- Co to ma być? Czego chcecie? Zostawcie mojego brata i bratanicę w spokoju!

Zaskrzypiał żwir; Simon wypadł na zewnątrz i kilka razy obiegnął dom dookoła.

- Nikogo tam nie ma! - oznajmił po powrocie.

Dopiero teraz Lilo odważyła się wstać z podłogi i obejrzeć pocisk.

- Panie Anderson... szybko! - zawołała.

W drewnianej belce tkwiła srebrna kula.

Ojciec Becky zbladł jak ściana.

- Dopiero trzecia kula trafiła... - wymamrotał ledwie słyszalnym szeptem.

Tej nocy Axel nie spał sam w namiocie. Towarzyszył mu Dominik, któremu Lilo przywiązała do dużego palca jeden koniec mocnego sznurka, natomiast drugim owinęła duży palec Axela. Gdyby wycie wilkołaków miało go znów wywlec ze śpiwora, Dominik poczuje, że jego kumpel wstał. Wówczas musi szybko zaalarmować Lilo i Poppi, które rozbiły swój namiot tuż obok.

Jednak tej nocy potwory się nie pojawiły, w lesie panowała niczym nie zmacona cisza. Wilkołaki musiały być całkiem sprytnie, skoro wiedziały, że obóz jest obstawiony przez policjantów, czekających tylko na to, żeby któregoś z nich złapać.

ROZDZIAŁ JEDENASTY: Trzeba go zlikwidować

Następnego ranka w bozie nadal panował nastrój przygnębienia. Becky nie udało się odnaleźć. Brano pod uwagę nawet przerwanie zawodów i wcześniejsze odesłanie zawodników do domów.

Tragiczna sprawa zniknięcia dziewczynki i związana z nim groza, jaka zawisła nad obozem, legły na wszystkich sercach nieznośnym ciężarem. Dopóki nie udało się wpaść na ślad wilkołaków, należało się obawiać, że zaatakują ponownie. Policja spodziewała się po nich wszystkiego, co najgorsze...

Przed południem Liselotte spotkała pana Andersona koło namiotu organizatorów zawodów, w którym miała się akurat odbyć narada. Nie mogła wieczorem zasnąć,

więc oddała się intensywnym rozmyśleniom, jak przystało na supermózg Klubu Detektywów. W jej głowie wciąż kołatało się jedno pytanie, które postanowiła teraz zadać.

- Panie Anderson, czy ma pan wrogów?

Ojciec Becky, poszarzały na twarzy, zrobił zdumioną minę.

- Wrogów? - powtórzył. - Chyba nie... Od dawna poświęcam życie ochronie przyrody. To raczej przysparza przyjaciół... Ale poczekaj, jak się nad tym głębiej zastanawiam, przychodzi mi do głowy, że mam także wrogów. Gdy zamykałem platformę wiertniczą, wybuchły gwałtowne protesty. Musiałem dać wymówienia wszystkim robotnikom, bo w nowej placówce pracują wyłącznie moi ludzie. Prowadzą badania nad tym, jak można naprawić szkody powstałe w wyniku eksploatacji platformy. Zniszczono przecież przyrodę...

- Czyli ludzie, których pan wyrzucił, mogą mieć do pana żal. Możliwe, że jest im teraz trudno znaleźć nową pracę - podsumowała Lilo.

Pan Anderson pokiwał głową.

- Naprawdę sądzisz, że któryś z tych ludzi zorganizował akcję z wilkołakami? Szczerze mówiąc, nie przypuszczam, że byliby do tego zdolni, nawet jeśli mnie nienawidzą!

- Być może ktoś chce w ten sposób wymusić kontynuowanie wierceń! - rozważała Lilo.

- Ależ, dziecko, to śmieszne, co mówisz. Bardzo naciągana teoria!

Axel był tak wyczerpany wydarzeniami ostatnich kilku nocy, że tego dnia w ogóle nie wyszedł ze śpiwora. Przyjaciele pozwolili mu się wyspać.

Podczas gdy Lilo rozmawiała z panem Andersonem, Dominik i Poppi wyruszyli na spacer po obozie. Ponieważ różnica czasu wciąż jeszcze dawała im się we znaki, oboje dość późno wstali. Ze zdumieniem stwierdzili, że późnym przedpołudniem obóz robi wrażenie wymarłego. Gdzie się wszyscy podziali?

Od strony jeziora dobiegły głośnie nawoływania.

- Poszli popływać! - domyślił się Dominik. - A to oznacza, że będziemy głodowali, bowiem według planu pora śniadaniowa już dawno minęła. Możemy mieć tylko nadzieję, że kucharz przyrządzi nam dodatkowy posiłek. Mój żołądek się tego domaga!

Poppi wywróciła oczami, ponieważ Dominik znów wyrażał się w swój nadzwyczaj manieryczny sposób.

Gdy przechodzili obok namiotu medycznego, Dominik przystanął.

- Czuję, że mój katar sienny może mnie tu zaatakować z nową siłą. Może lekarka znajdzie dla mnie jakiś środek. Poczekaj tu chwilę, droga Poppi.

Skłonił się i zniknął w wejściu do namiotu.

W środku było duszno, gorąco i cicho. Dominik chciał się już wycofać, sądząc, że nikogo nie ma, gdy nagle usłyszał męski głos:

- Naprawdę uważasz, że powinniśmy go zabić?

- Nie mamy innego wyjścia. Obawiam się, że on o wszystkim wie. Trzeba go było zastrzelić już tamtej nocy na łące, wtedy mielibyśmy to za sobą. Z drugiej strony można było mieć nadzieję, że mały szok utrzyma go z daleka. Niestety, facet jest potwornie uparty i nie da się go inaczej zmusić do milczenia.

- Jeśli do tego dojdzie... ty to zrobisz. Dasz mu jakiś zastrzyk albo tabletki. Ja nie jestem mordercą!

- Spróbuj go najpierw tak załatwić, żeby nie odważył się więcej otworzyć ust. Za kilka dni sprawdzimy, czy to działa. Jeśli wynik będzie pozytywny, damy mu spokój. Chociaż narażamy się na pewne ryzyko - gość może wydać najpierw ciebie, a potem i mnie.

Dominik poczuł na całym ciele gęsią skórkę. Za parawanem ktoś wstał i ruszył w jego stronę. Dwoma susami chłopiec znalazł się za wieszakiem, na którym wisiało na szczęście kilka białych kitli.

Do przedsiionka weszła doktor Moss, a za nią Ben Bennet. Objęli się ciasno i zaczęli całować. Potem sportowiec wyszedł, a lekarka wróciła do gabinetu.

Dominik nie odważył się nawet odetchnąć.

Starając się zachowywać bezszelestnie, skoczył do wyjścia i wypadł na zewnątrz. Na końcu uliczki między namiotami zauważył Bena Benneta, który wyraźnie bardzo się śpieszył. Poppi gdzieś zniknęła.

- Dominik, popatrz... szpo pracz! Właśnie myje jabłko! - zawołała z pewnej odległości dziewczynka.

Odeszła od namiotu medycznego i odkryła zmyślne zwierzątko nad płytkim bajorkiem na łące.

Dominik miał teraz na głowie znacznie ważniejsze sprawy. Musiał śledzić człowieka, który knuł coś strasznego. Musiał dogonić Bena Benneta.

ROZDZIAŁ DWUNASTY: Ratunku, katar sienny!

Dominik biegł najszybciej, jak potrafił. Sportowiec - choć szedł swobodnym krokiem - poruszał się z dużą prędkością. Chłopiec musiał zrobić wszystko, żeby nie stracić go z oczu, a zarazem nie zostać odkrytym. Każdy przyzna, że to niełatwe zadanie!

Na terenie obozu śledzenie Benneta nie było aż tak trudne, Dominik mógł się chować za namiotami. Niestety, sportowiec opuścił miasteczko i nie zwalniając kroku, zmierzał w stronę lasu. Dominik dyszał i pocił się obficie. Nogi miał jak z waty i za każdym razem, gdy zdążył się ukryć za grubym pniem cedru, czuł przyływ ulgi.

Chcąc dotrzymać kroku podejrzanemu mężczyźnie, Dominik nie mógł za bardzo uważać, gdzie stąpa. Kilka razy nadepnął na zeschlą gałąź, która pękała z głośnym trzaskiem. Dźwięk ten brzmiał mu w uszach jak wystrzał i za każdym razem chłopiec liczył się z tym, że zostanie odkryty i załatwiony przez miłego pana Benneta.

Na szczęście sportowcowi najwyraźniej nie przyszło do głowy, że ktoś mógłby go śledzić. Nie oglądając się za siebie, wielkimi krokami podążał wciąż naprzód. Zapewne był tak zatopiony w myślach, że nie słyszał dochodzących z tyłu hałasów.

Bennet dotarł do rzeki i ruszył w dół jej biegu, aż znalazł się w miejscu, gdzie w wodzie leżały setki pni. Na brzegu stała drewniana chatka, w której śledzony obiekt zniknął.

Skulony Dominik przekradał się przez wysokie trawy porastające stromy brzeg rzeki. Dotarłszy do chatki, zbliżył się do okna, przywarł do ściany i powoli uniósł głowę.

W chatce była tylko jedna izba, a w niej żelazny piecyk, łóżko, szafa, stół i poplamiony fotel.

Obok piecyka tkwił ciasno związany mały, chudy człowieczek. Usta miał zaklejone szeroką taśmą.

Więzień nie miał żadnych szans na ucieczkę, bo z szyi zwisała mu pętla, której drugi koniec został przymocowany do haka na suficie. Był to rodzaj stryczka, który zaciskał się natychmiast, gdy tylko mężczyzna wykonał ruch w lewo lub w prawo.

Ben Bennet ciężkim krokiem podszedł do więźnia i jednym ruchem zerwał mu taśmę z ust. Człowieczek jęknął głośno, na co sportowiec dwukrotnie uderzył go

mocno w twarz.

Dominik instynktownie skulił się pod oknem. Było mu naprawdę żal tego drobnego mężczyzny.

Słuchaj no, Igor, teraz ci pokażę, co się z tobą stanie, jak tylko otworzysz gębę! - zagroził Bennet.

Łąkę owiał ciepły, letni wiaterek, niosący intensywną woń kwiatów i ziół. Chmury drobnutkich pyłków dostały się Dominikowi do nosa i oczu. Chłopiec wiedział, że jest na nie silnie uczulony. Natychmiast poczuł swędzenie i łaskotanie w nosie i gardle.

- Najpierw połamię ci wszystkie kości, jedną po drugiej, a potem wybije ci wszystkie zęby! - wyliczał ze złością Bennet.

Chudy człowieczek z podłużną czaszką aż zadrżał całym, lecz, jak się okazało, nie ze strachu, ale z tłumionej wściekłości.

- Oszustwo nie ujdzie ci na sucho, Bennet. Bierzesz środki dopingujące i tylko dlatego wygrywasz. Widziałem na własne oczy, że twoje testy wypadły pozytywnie. To świństwo tak oszukiwać świat sportowy!

Ben Bennet skrzyżował na piersi muskularne ramiona i warknął:

- A ty próbowałeś mnie szantażować, ty wredna świni! Zwabiłeś mnie w nocy na łąkę. Nawet miałeś ze sobą pistolet, ty gnoju!

- To była zabawka, na wypadek, gdybyś dostał szalu, co się z resztą stało. Nie, Bennet, wcale nie chciałem cię szantażować. Kiedyś cię podziwiałem i nie chciałem, żeby... taki wybitny sportowiec... został zniszczony, kiedy wszystko się wyda. Chciałem cię tylko zmusić do porzucenia tego szaleństwa, bo inaczej musiałbym sporządzić raport!

- Chcesz, żebym przestał? Coś ty sobie uroił? Sądzisz, że dostanę miliony za udział w reklamie, jeśli zacznę przegrywać albo świat się dowie, że muszę łykać piguły, żeby zwyciężać?

Najpierw schowałem wynik twojego testu, ale następnego dnia postanowiłem jednak przekazać go doktor Moss! Dopiero w nocy przyszło mi do głowy, że ona przez cały dzień nic z tym nie zrobiła. Nie zgłosiła wyniku komisji, tylko zabroniła mi w przyszłości wykonywania testów antydopingowych. Wydało mi się to podejrzanym i chciałem odebrać twój test, ale ona trzyma z tobą, prawda? Zgadza się?

Ben Bennet uśmiechał się, nie mówiąc ani słowa.

- To pewnie ona dostarcza ci tabletki i twierdzi, że wyniki testów są w porządku. W końcu to przypadek, że to ja przeprowadziłem u ciebie kontrolę antydopingową. Nie musiałem się wrywać przed szereg, ale już taki ze mnie pracuś... Doktor Moss dostała szalu, jak to zauważyła. Ty... odezwij się w końcu!

Ben Bennet nadal milczał, intensywnie żując gumę.

- Jestem pewien, że ty i ta twoja pani doktor nafaszerowaliście pigułkami nawet tych małych Amerykanów, żeby zajęli lepsze miejsca. Mam rację? Ale to przecież czysty obłąd! Chcecie zniszczyć te dzieciaki? To dlatego doktor Moss podstawiła mi nogę, gdy niosłem próbówki do analizy...

Ben Bennet zaczął nerwowo miotać się po izbie. Nie wiedział, co powinien teraz zrobić.

- Masz okazję, żeby teraz obiecać, że będziesz trzymał gębę na kłódkę. Jak nie, to przywiążę cię do piecyka i razem z nim wrzucę do rzeki. Pójdiesz prosto na dno, słyszysz, i nikt cię nigdy nie znajdzie!

- Nie dam się zastraszyć metodami rodem z mafii! - ryknął hardo Igor.

- No dobrze, sam tego chciałeś! - warknął groźnie Bennet.

Za oknem Dominik walczył z objawami kataru siennego. Wykrzywił konwulsyjnie twarz, ścisnął nozdrza palcami, wstrzymywał oddech, ale na próżno, katar był nieubłagany.

Nie mogąc się już dłużej powstrzymać, chłopiec kichnął głośno. Bardzo głośno. Jakby tego było mało, zaczął teraz kichać całymi seriami - psik! psik! aaapsik!! Dostał takiego ataku kichania, że zaczęło mu brakować tchu.

Naturalnie Bennet usłyszał to kichanie i wybiegł z chaty, prychając jak rozwścieczony byk. Na widok Dominika wydał zdławiony ryk i skoczył na niego.

W ostatniej chwili chłopiec zrobił jednak unik i rzucił się do ucieczki. Za rogiem chaty spostrzegł kilka opartych o ścianę wąskich desek. Szybkim ruchem zwałił je na ziemię, prosto pod nogi ścigającego go Benneta.

Mężczyzna nie zdążył ich ominąć, potknął się i runął jak długi.

Dominik wykorzystał szansę i co tchu pognął przed siebie. Niestety, nie był dostatecznie szybki. Sport nigdy nie należał do jego ulubionych rozrywek. Udało mu się uzyskać pewną przewagę, ale długie, wytrenowane nogi Benneta niemal natychmiast zmniejszyły dystans. Sapanie sportowca zbliżało się z każdą sekundą.

- Stój! - ryknął Bennet, ale Dominik ani myślał go słuchać.

Każdą komórkę jego ciała wypełniał strach. Wiedział, że nie ma szans, by uciec przed lekkoatletą. Płuca paliły go żywym ogniem, straszliwie kłuło go w boku, a nogi zaczynały być ciężkie jak ołów. Dominik potknął się i zatoczył.

Ben Bennet już prawie go dopadł. Jego twarz wykrzywił grymas, upodabniając go do walczącego o kość psa.

Mężczyzna wyciągnął długie, muskularne ramię, żeby pochwycić chłopaka. Musiał go załatwić, kolejny świadek z pewnością nie był mu potrzeby!

ROZDZIAŁ TRZYNASTY: Spotkanie z mrowiskiem

Bennet czubkami palców chwycił kaptur bluzy Dominika, szarpnął mocno i powalił chłopca na ziemię. Dominik zgubił przy tym okulary, bez których niewiele mógł zobaczyć. Rozległ się głośny trzask, gdy rozwścieczony pogonią prześladowca rozgniół butem oprawkę.

Sportowiec stanął niczym gniewny olbrzym nad przerażonym młodym detektywem, który skulił się ze strachu, że też może zostać rozdeptany. Mrużąc oczy, zerkał lękliwie na swojego gnębiciela, który gorączkowo rozważał, co powinien teraz zrobić.

Palce chłopca zacisnęły się kurczowo na źdźbłach trawy, które były tak słabe, że wraz z korzonkami i ziemią zostały mu w rękach.

Z okrzykiem wściekłości Ben Bennet rzucił się na Dominika, chcąc go poderwać na nogi. Jego głowa zbliżyła się doń niczym łeb drapieżnego ptaka, który zaraz chwyci swą ofiarę. Wtem zdarzyło się coś zupełnie nieoczekiwanego.

Dominik zamachnął się i cisnął ziemię prosto w oczy napastnika. Bennet ryknął z zaskoczenia i bólu, a potem zaczął gwałtownie trzeć oślepione oczy, chcąc je oczyścić.

Dominik wykorzystał tę krótką chwilę, żeby znów rzucić się do ucieczki. Jego nogi odzyskały lekkość, nie czuł też klucia w boku ani bólu w płucach.

Bez okularów widział dość zamazany obraz świata. Przed jego załamionymi od wiatru oczami pojawiły się niewyraźne zarysy pierwszych drzew. Trzeba przyznać, że biedny Dominik uciekał niemal na ślepo!

Łomot butów! Tuż za nim! Dominik popełnił błąd i się obejrzał. Ben Bennet doszedł do siebie znacznie szybciej, niż można by przypuszczać, a teraz niemal go dopadał. Wydawał się zdecydowany na wszystko. Jeśli teraz go dorwie, to koniec.

Dominik poczuł przyływ paniki i wrzasnął przeraźliwie. Ponieważ nie widział,

gdzie biegnie, potknął się o leżący w poprzek drogi pień drzewa i runął na ziemię. Miał wrażenie, że wraz z nim runął i zwałił mu się na głowę cały świat.

Na szczęście Ben Bennet także się przewrócił. Dominikowi udało się poderwać o sekundę wcześniej i natychmiast znów pognął dalej.

Omali nie potknął się o następną przeszkodę, a choć widział ją tylko jako niewyraźny zarys, domyślił się od razu, co to jest.

Zatrzymał się gwałtownie, jakby wrósł w ziemię. Bennet dostrzegł szansę na zadanie decydującego ciosu i potężnym susem runął naprzód, chcąc zwalić się na chłopaka całym ciężarem.

Właśnie na to liczył Dominik. Błyskawicznie odskoczył na bok, a jego prześladowca z impetem wylądował... w wysokim kopcu mrówek.

Było to mrowisko bardzo dużych i walecznych leśnych mrówek, które nie znały litości dla niszczycieli i potrafiły się bronić.

Chmara owadów zaatakowała każdy skrawek ciała intruza, który zrujnował ich dom, i kąsały go boleśnie, wstrzykując mu do krwi żrący kwas mrówkowy, co piecze żywym ogniem.

Ben Bennet wrzasnął z bólu, bo piekielne mrówki zaatakowały mu także twarz i oczy.

Chciał się podnieść, lecz tylko zapadł się głębiej w misterną budowlę. Tymczasem do ataku rzuciły się wciąż nowe falangi wojowniczych owadów.

Ryk bólu mężczyzny poniósł się echem po lesie. Ben Bennet krzyczał, że nic nie widzi, że chyba oślepl. Dominik wiedział, że działanie piekącego kwasu po jakimś czasie minie. Nie miał ani chwili do stracenia.

Wykonał radosny podskok i pędem pognął z powrotem do chaty. Uwolnił Igora, uważając jednak, czy jego prześladowca nie podjął już czasem polowania.

Po dwóch dniach uwięzienia biedny Igor poruszał się z najwyższym trudem. Kończyny miał zupełnie zeszywniałe. Dominik pociągnął go za sobą, nie słuchając żadnych jęków ani skarg. Najważniejsze było, żeby znaleźć się w bezpiecznym miejscu, gdzie nie dosięgną ich łapska oszalałego sportowca.

Bomba wybuchła przed południem. W ciągu godziny wszyscy już wiedzieli, że supergwiazda Ben Bennet oraz amerykańscy juniorzy brali środki dopingujące. Doktor Moss kryła sportowców i dostarczała im zabronionych tabletek. Lekarka została natychmiast aresztowana, a juniorzy zdyskwalifikowani. Przyznali się, że wiedzieli o stosowaniu dopingu. Ben Bennet nie musiał dorzucać im skrycie tabletek do jedzenia.

Po południu w obozie pojawiły się ekipy różnych stacji telewizyjnych, żeby poinformować opinię publiczną o skandalu.

Oczywiście cała czwórka z Klubu Detektywów stała się ośrodkiem zainteresowania. Axel zrozumiał, że to Ben Bennet nadpiłował linki hamulcowe w rowerach, którymi wraz z Becky pojechali na przejażdżkę. Po rozmowie w namiocie medycznym Amerykanin obawiał się, że Axel go rozpoznał, gdy w nocy napadł Igora, a może i dowiedział się czegoś więcej. Wolał się zatem pozbyć niewygodnego świadka. Ponieważ nie wiedział, który rower należy do Axela - Becky także używała roweru męskiego - na wszelki wypadek zepsuł oba.

Bena Benneta znaleziono w lesie. Był strasznie pogryziony przez mrówki, ale jego życiu nie zagrażało niebezpieczeństwo. On również został aresztowany.

- A więc rozwiązaliście już kilka spraw kryminalnych? - spytał z niedowierzaniem jeden z przybyłych reporterów.

Czworo młodych detektywów pokiwało z powagą głowami. Świetnie wiedzieli, że większość dorosłych im nie wierzy, co niezle ich wkurzało.

- Na przykład morderstw? - dążył dalej reporter.

- Nie, na szczęście żadnego morderstwa. Niemniej jednak udało nam się rzucić trochę światła na kilka bardzo tajemniczych przypadków! - oznajmił z dumą Dominik.

- Oho, takim razie może będziecie potrafili wyjaśnić zagadkę znikania więźniów z zakładu karnego w Vancouver! - wtrąciła młoda reporterka.

Cała czwórka miała dość bezradne miny.

- Jak to, nie słyszeliście o tym? - zdziwiła się kobieta, intensywnie żując gumę. Dzieci potrząsnęły głowami. - Bardzo dziwna sprawa. Policja jest całkowicie bezradna wobec tej zagadki. A Vancouver to duże miasto, leżące u ujścia rzeki Fraser!

- To właśnie ta rzeka, w której przed stu laty znajdowano złoto! - wyjaśnił przyjacielom Axel.

- Zgadza się, a w Vancouver są nie tylko imponujące drapacze chmur, ale również sporo różnej maści przestępców. Jednak policja świetnie sobie radzi, regularnie ich wylapuje i wsadza za kratki. Więzienie jest bardzo nowoczesne. Przestępcy są tam skutecznie resocjalizowani, jeżeli oczywiście nie znikną przedwcześnie.

Na czole Lilo zarysowała się głęboka zmarszczka. Znak ogromnego zdumienia.

- W ciągu ostatnich dwóch lat z więzienia zniknęło bez śladu co najmniej trzydziestu osadzonych. „Bez śladu” w sensie jak najbardziej dosłownym. Nie udało się ustalić, w jaki sposób zdołali się wydostać z cel i pilnie strzeżonego budynku więzienia. Od tej pory nikt ich nie widział. Zupełnie jakby ziemia ich pochłonęła. Prawie wszyscy mieli do odsiedzenia jeszcze pięć, sześć, a nawet dziesięć lat!

Młodzi detektywi pokręcili z namysłem głowami. To brzmiało bardzo zagadkowo i dziwnie. Słyszeli, rzecz jasna, o więźniach, którzy robili podkopy, obezwładniali strażników i przeskakiwali przez mury. Jednak nigdy dotąd nie słyszeli o takich, co umieliby się rozpuścić w powietrzu.

Dominik pochylił się i szepnął Lilo do ucha:

- Hej, przecież ten Simon, brat ojca Becky, siedział w więzieniu, prawda? Być może to on ma z tym coś wspólnego. Muszę przyznać, że nie budzi we mnie specjalnego zaufania.

- No co, zaintrygowałam was, dzieciaki? - zakpiła reporterka.

Lilo zauważyła, że kobieta nie traktuje ich poważnie, więc ze złością odwróciła się do niej plecami.

- A ta sprawa z wilkołakami, która się tu wydarzyła, co o niej sądzicie? - spytał pierwszy reporter.

- Zastanawialiśmy się już nad tym - zaczęła z wahaniem Lilo.

W rzeczywistości nikt z nich nie miał pojęcia, co o tym sądzić, lecz odpowiedź ich supermózgu zabrzmiała bardzo dobrze.

- W rzeczy samej - dodał z patosem Dominik. - Jednak nie wolno nam ujawniać wyniku naszego śledztwa, żeby złoczyńca myślał, iż nadal jest bezpieczny!

To właśnie zacytowały w popołudniowych i wieczornych wiadomościach niemal wszystkie stacje telewizyjne Kanady. Obejrzało je i usłyszało wielu ludzi, co miało dla Klubu Detektywów wręcz niewiarygodne skutki...

ROZDZIAŁ CZTERNASTY: Pozdrowienia od wilkołaków

Wieczorem cała czwórka odwiedziła ojca Becky, by zapytać, czy są jakieś nowe ustalenia w sprawie jej zniknięcia. Niestety, pan Anderson nie miał żadnych nowych wiadomości. Policja przeczesała las, ale nie znalazła ani śladu wilkołaków.

Co najdziwniejsze, potwory nie zostawiły żadnych odcisków stóp. Policjanci

skłonni byli przypuszczać, że wilkołaki unosiły się w powietrzu...

Coraz więcej wskazywało na to, że Becky nie została porwana dla okupu, choć jej ojciec był człowiekiem bardzo majątnym. Jak dotąd nikt nie zgłosił żadnych żądań.

- Oprócz Becky nie mam nikogo. Ja... ja naprawdę nie wiem, co zrobię, jeśli ją stracę! - wyszeptał pan Anderson z rozpaczą, kryjąc twarz w dłoniach. - Wszyscy, których kochałem, opuścili mnie zbyt wcześnie. Rodzice, żona... a teraz moja ukochana córka!

Zaszlochał cicho, a członkowie Klubu Detektywów z zakłopotaniem popatrzyli po sobie. Co właściwie można było na to powiedzieć?

Nagle usłyszeli odgłos wystrzału. Szyba w oknie, obok którego siedział pan Anderson, stłukła się z hukiem, jej szczątki zasypały podłogę. Coś z głuchym hukiem uderzyło w belkę, w której Lilo znalazła poprzednio srebrną kulę.

Wszyscy rzucili się na podłogę w obawie, że może nastąpić jeszcze jeden strzał. Nic takiego się nie wydarzyło, natomiast wyraźnie było słychać, że sprawca uciekł. Na żwirze zachrząściły czyjeś szybkie kroki.

Lilo odważyła się unieść głowę i zerknąć nad parapetem. Było już ciemno, więc zobaczyła tylko cień, który potężnym skokiem przesadził ogrodzenie.

W odległości zaledwie centymetra od pierwszej srebrnej kuli tkwiła teraz druga.

- Trzecia trafiła dziewczynę... - mruknął pan Anderson, któremu to zdanie z kroniki rodzinnej wryło się w pamięć jak żadne inne.

Zadzwoił na policję i poinformował o tym, co się stało. Policjanci chcieli przyjechać natychmiast, ale co mieliby stwierdzić?

Ojciec Becky uparł się, że osobiście odprowadzi do obozu trójkę przyjaciół. Gdy się z nimi żegnał, kilka razy westchnął głęboko.

- Zupełnie się załamał! - stwierdziła Lilo, gdy pan Anderson oddalił się już na sporą odległość. - Jest totalnie wykończony.

- Nie sądzisz, że to jest właśnie celem całej tej sprawy z wilkołakami? - spytał z namysłem Dominik.

Liselotte wyjątkowo nie potrafiła teraz udzielić odpowiedzi.

Na szczęście Dominik wziął ze sobą w podróż zapasowe okulary. Gdyby nie one, miałby teraz spore trudności z poruszaniem się, dlatego tak bardzo ich pilnował. Leżały w twardym, dodatkowo zawiniętym w sweter etui, które chował w plecaku. Strzeżonego...

Dlatego też Dominik nie znalazł okularów pod ręką, gdy obudził się w nocy i po omacku po nie sięgnął.

Coś zaskrobało w namiot chłopców, co do tego nie miał żadnych wątpliwości.

Dominik próbował obudzić Axela, po czym przekonał się ze zgrozą, że jego przyjaciel nie śpi, tylko jest nieprzytomny. Mruknął coś niechętnie i ugryzł Dominika w rękę.

Z góry na dach namiotu runął jakiś ciężki przedmiot i ześliznął się po bocznej ścianie, po czym znieruchomiał przed wejściem. Co to było?

Dominik czuł, że powinien coś zrobić, ale bał się wyjrzeć z namiotu. Wobec tego odsunął nieco zamek błyskawiczny i wystawił rękę na zewnątrz. Obmacał wilgotną trawę na zewnątrz i nagle poczuł pod palcami... futro!

Z wrzaskiem cofnął rękę i szybko zasunął zamek. Tym razem nie miał litości - potrząsał, boksował, szarpał i szczypał Axela tak długo, aż ten w końcu otworzył oczy.

- Wstawaj! Przed namiotem coś leży! Chyba... chyba wilk! - wyjąkał z przejęciem Dominik.

Axel błyskawicznie otrząsnął się z resztek snu. Wygrzebał z plecaka latarkę i odsunął kawałek zamka. Przytrzymał otwór palcami i oświetlił trawę promieniem

latarki.

To była rzeczywiście skóra. Szara wilcza skóra, a gdy Axel zerknął nieco w bok, rozpoznał szeroko rozwartą paszczę z krzywymi, żółtymi zębiskami.

Jednak szczęki się nie poruszały. Były całkowicie sztywne, podobnie jak ozór. Axel rozsunął zamek jeszcze kawałek i odetchnął z ulgą.

Przed namiotem nie leżało prawdziwe zwierzę, tylko skóra wraz z łbem, jaką można zobaczyć w niektórych domach w postaci dywanika przed łóżkiem. Wilcza skóra.

Gardło Axela ścisnęło się z przerażenia na widok wielkich czerwonych liter, które tworzyły na skórze napis BEWARE. Wyglądał, jakby został sporządzony krwią, a znaczył tylce co UWAGA!

Axel pobiegł do namiotu dziewczynek i obudził Lilo i Poppi. Drżąc na całym ciele, pokazał im przerażającą wilczą skórę. Czerwona farba była jeszcze wilgotna, a gdy Lilo ją powąchała, z obrzydzeniem zmarszczyła nos.

- Dziwne, to świństwo wcale nie pachnie lakierem, ani niczym chemicznym...

Roztarła w palcach gęstą maź, nie wypowiadając na głos myśli, która przyszła jej do głowy: farba naprawdę przypominała krew...

Z oddali dobiegło wilcze wycie.

Dzieci podskoczyły jak smagnięte batem, przysunęły się do siebie i chwyciły za ręce. Wstrzymując oddech, wpatrywały się w zarys lasu, skąd dochodziły przerażające dźwięki. Axel natychmiast zauważył, że tym razem brzmiały znacznie głośniejszy i wyraźniej.

Dominik, Poppi i Lilo obserwowali go w napięciu. Czy znów zachodzi w nim ta tajemnicza przemiana? Czy Axel czuje nieprzepartą chęć dołączenia do wilkołaków?

Chłopiec zauważył badawcze spojrzenia trójki przyjaciół i odezwał się cicho:

- Znów to czuję... ale tym razem nie aż tak wyraźnie... nie tak jak poprzednio!

Wycie zabrzmiało jeszcze kilka razy, po czym Poppi dostrzegła na skraju lasu jakąś postać.

- Tam... t... tam jest jeden! - wyjąkała nerwowo.

Reszta Klubu Detektywów po raz pierwszy miała możliwość ujrzenia potwora.

Księżyc powoli wyłonił się zza chmury, wilkołak uniósł łeb ze spiczastymi uszami prosto do nieba i zawył ku niemal okrągłej, lśniącej srebrzyście tarczy. Następnie zgiął się wpół i powlókł z powrotem do lasu.

- A gdzie są policjanci, który pilnują obozu? - zawołała Lilo.

Młodzi detektywi rozbiegli się, żeby wszcząć alarm, ale stróże prawa jakby zapadli się pod ziemię.

Axel został sam, walcząc z myślami. Rozsądek nakazywał mu zostać na miejscu, lecz jakiś głos wewnętrzny namawiał go do przyłączenia się do wilkołaków. Może wśród nich znalazłby Becky.

Miotał się na wszystkie strony, niezdolny do podjęcia decyzji, aż w końcu ruszył biegiem do lasu. Tylko Lilo zdążyła to zauważyć i wykrzyknęła ostrzegawczo jego imię. Niestety, przyjaciel jej nie usłyszał.

Rzuciła się za nim w pogoń, ale Axel biegł bardzo szybko. Wycie wilkołaka przyciągało go jak magnes, wabiąc coraz dalej w las. Axel nie czuł niepewności ani strachu. Zdyszana Lilo z trudem za nim nadążała, usiłując nie stracić go z oczu.

Gdy Axel dotarł do niewielkiej, oświetlonej blaskiem księżyca polany, wycie raptownie umilkło. Chłopiec zatrzymał się jak wryty. Na widok tego, co zobaczył przed sobą, z ust wyrwał mu się zwierzęcy krzyk przerażenia.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY:

Dwa groby

Na polanie zostały wykopane dwa głębokie doły w kształcie grobów. W jednym z nich leżała Becky. Jej twarz była kredowo biała, a piała przykrywały płatki i pąki kwiatów.

Drugi grób był pusty.

Lilo udało się właśnie dogonić Axela. Na widok grobów zamarła z przerażenia.

- O Boże... to... to niemożliwe! - jęknęła.

Chwyciła mocno Axela za ramiona, ale on otrząsnął się gniewnie. Jego oczy były dziwnie zmienione, pozbawione blasku i zupełnie puste, jakby patrzyły gdzieś w kosmos.

Na sztywnych nogach ruszył w kierunku grobów.

- Nie, Axel, nie! - wrzasnęła Lilo, ale przyjaciel nie zareagował.

Bezradny i zagubiony, z głową uniesioną do księżyca, stanął na środku polany. Wydawał się całkiem samotny i opuszczony. Lilo w nagłym przeblysku pojęła, że Axel nie ma nad sobą kontroli.

Wtem coś zatrzeszczało i zaszeleściło w ciemnościach. Lilo przeraziła się tak bardzo, że latarka wypadła jej z rąk. Nadchodziły wilkołaki. Wszystko działo się dokładnie tak, ajk to opisywał Axel. Początkowo trzymały się z daleka, a potem nagle się pojawiały.

Lilo pomyślała o ucieczce, ale przecież nie mogła zostawić Axela. Niepewnie postąpiła kilka kroków do przodu, lecz zaraz się cofnęła, bo szelesty z zaroślach się wzmogły. Spokój panował tylko wtedy, gdy stała nieruchomo.

„Dość tego, muszę go natychmiast stąd zabrać. Musimy się wymknąć tym potworom!” - pomyślała Lilo. Nie miała już żadnych wątpliwości, że wilkołaki istnieją naprawdę i że Axel wcale nie fantazjował.

Dwoma susami znalazła się przy Axelu i chwyciła przyjaciela za lodowato zimną rękę. Pociągając go mocno za sobą, ruszyła w kierunku obozu.

Nie uszli daleko. Zagroziły im drogę nie wilkołaki, lecz prawdziwe wilki,

Lilo nie mogła uwierzyć własnym oczom. Zaciśnęła mocno powieki, po czym otworzyła je szeroko, żeby się upewnić, czy nie śni.

Szare, podobne do psów bestie ze zmierzwionym futrem nadal tu stały. Była to cała wataha, dwadzieścia, może nawet trzydzieści zwierząt. Przygarbione, ze zjeżoną sierścią, przemykały między pniami drzew, uważnie śledząc każdy ruch młodych detektywów.

Lilo daremnie szukała wzrokiem drogi ucieczki. Bure potwory otoczyły polanę, a ich krąg stopniowo się zacieśniał.

„Jesteśmy dla nich łupem... polują na nas!” - przemknęła Lilo przez głowę przerażająca myśl. Ze strachu i poczucia kompletnej bezradności aż zakręciło jej się w głowie, Axel zaś niewiele sobie robił z pojawienia się groźnych bestii. Dziewczyna przypomniała sobie nagle, że nie wolno spoglądać wilkom w oczy, i wpadła w jeszcze większą panikę.

Chociaż śledziła zwierzęta spod opuszczonych powiek, stawały się coraz bardziej niespokojne.

Podchodziły coraz bliżej i bliżej, a co bardziej odważne znalazły się już prawie w zasięgu ręki.

- Poszły precz! Jazda stąd...! Won! - wysapała Lilo.

Zamachnęła się z całej siły i kopnęła jednego z wilków, który zawył boleśnie i podkułił ogon. Jego reakcja chyba przstraszyła resztę stada, które cofnęło się na trochę większą odległość.

Wilki trzymały się z dala zaledwie przez dwie, trzy minuty, po czym znowu zaczęły się przybliżać.

- Aaaaaaaa! - Lilo nie zdołała się już dłużej powstrzymać i ryknęła ile sił w płucach.

Nie wytrzymała napięcia, musiała jakoś zareagować. Jej wrzask odbił się echem w całym lesie.

Wilki skuliły się nieco, ale nie ruszyły z miejsca. Z oddali dobiegło wycie wilkołaków, pomieszane w wysokim gwizdem, który wprawdzie boleśnie ranił uszy, ale wywarł zbawienny wpływ na wilczych napastników. Gwizd urwał się nagle, lecz po chwili zabrzmiał na nowo. Wilki niczym posłuszne psy rzuciły się w jego kierunku, wydając odgłosu przypominające szczekanie.

- Chodź... biegiem... biegiem! - wydyszała z trudem Lilo.

Gardło miała wyschnięte i jak zasznurowane. Szarpnęła Axela za ramię, a on niechętnie, potykając się, ruszył za nią. Opuścili polanę i omijając przeszkody, biegli do obozu. Lilo obawiała się nowego ataku wilków lub wilkołaków.

Przygotowana na wszystko, lękliwie obejrzała się za siebie. Światło księżyca połyskiwało na korze drzew otaczających polanę, na której spędzili tych kilka przerażających minut.

Blask księżyca oświetlał teraz coś więcej. Lilo nie potrafiła tego pojąć. Patrzyła z otwartymi ustami. Chciała to pokazać Axelowi, lecz gdy się odwrócił, polana znów była zupełnie pusta.

Liselotte zauważyła wkrótce, że jej kumpel dochodzi już do siebie, bo zaczął zdradzać obawy lęku i oszołomienia.

Obóz...! Leżał tuż przed nimi. Chwiejąc się i potykając, młodzi detektywi dotarli do swoich namiotów, gdzie czekali na nich zniecierpliwieni Dominik i Poppi.

- Gdzie wyście zniknęli? Strasznie się o was martwiliśmy! - wykrzyknęli oboje. - Co się z wami działo?

- Dużo! - rzuciła krótko Lilo.

Musiała najpierw nabrać tchu, dopiero potem mogła zacząć swoją relację.

ROZDZIAŁ SZESNASTY: Ostrzeżenie totemu

- Widziałaś Becky stojącą na polanie?

Przyjaciele nie wierzyli temu, co słyszą. Lilo zapewniała ich wielokrotnie, że się nie myli. Widziała ją na własne oczy, zresztą nie tylko to. Becky unosiła ramiona w górę i gestykulowała żywo, jakby chcąc jej przekazać: uciekajcie stąd, trzymajcie się z daleka, nie wchodźcie już więcej do lasu!

Axel raz po raz chwycił się za głowę, powtarzając:

- Nie wiem, co to jest, ale... nie potrafię się wyzwolić spod wpływu tego wycia. Po prostu... muszę tam iść.

Lilo nasunęła się pewna myśl.

- To ma coś wspólnego nie tylko z wyciem, ale i z księżycem. Jak zobaczyłeś księżyc, totalnie ześwirowałeś, po prostu ci odbiło. Kiedy go nie widzisz, myślisz znacznie rozsądniej.

Niemniej jednak ona też nie potrafiła wyjaśnić tego zjawiska.

- Wyobraźcie sobie, że wszyscy policjanci, którzy mieli pilnować obozu, pognali nad jezioro. Tam ich znaleźliśmy! - opowiadali Dominik i Poppi.

- Nad jezioro? Dlaczego? - zdziwiła się Lilo.

- Dostali anonimową wiadomość, że wilkołaki mają zamiar coś tam urządzić.

Dlatego!

- No i co się wydarzyło?

- Przyplęnęła zdalnie sterowana łódź, w której znajdowała się wilcza łapa.

Wyglądała obrzydliwie, pewnie odcięli ją jakiemuś martwemu wilkowi! - wyjaśniła Poppi.

- To była sprytna sztuczka, żeby wywołać policjantów z terenu obozu i zwabić Axela do lasu! - stwierdził Dominik i wszyscy zgodzili się z logiką jego wniosku.

- Tak czy inaczej musimy natychmiast o wszystkim zameldować! - podsumowała Liselotte.

Gdy Klub Detektywów w komplecie wrócił do swoich namiotów, chłopcy znaleźli u siebie wiadomość. W czasie ich nieobecności ktoś wyciął nożem napis na śpiworze Axela.

Angielskie litery składały się na dwa wyrazy "Zostawcie to!".

- Co niby mielibyśmy zostawić? - spytał ogłupiały Dominik.

- Zostawcie węszenie, zostawcie śledztwo, zostawcie wypytywanie i dociekanie, odczepcie się od nie swoich spraw. Założę się, że właśnie o to chodzi! - syknął wściekle Axel.

Ale detektywi nigdy nie odposzczają!

Następnego dnia nie odbyły się żadne konkurencje. Najpóźniej wieczorem organizatorzy mieli zdecydować, czy ostatecznie zakończyć zawody.

Aby zapewnić młodym uczestnikom obozu trochę rozrywki, zawieziono ich autobusami do pobliskiego Barkerville. Stare miasteczko poszukiwaczy złota odzyskało w ostatnich latach dawną świetność i blask.

Axel, Lilo, Dominik i Poppi spacerowali główną ulicą, ma której niegdyś było tłoczno od bogatych mieszkańców. Ponieważ akurat była niedziela, roilo się tam, od turystów.

W miasteczku znajdowały się drewniane domy dawnych właścicieli kopalń, browar, dom towarowy prowadzony przez Chińczyka ze śnieżnowbiałą bródką, którego dziadek był pierwszym kupcem w Barkerville, saloon, w którym pianista grał na rozklekotanym instrumencie nostalgiczne melodie, chińska restauracja, niewielki budynek, w którym mieściła się redakcja lokalnej gazety, i gmach teatru. W czasach gorączki złota wystawiano w nim najczęściej łzawe historie miłosne.

Na końcu szerokiej ulicy cała czwórka zauważyła kilku ciemnoskórych mężczyzn, którzy stawiali gruby pal.

- Hej, to przecież totem! - zawołał ze zdumieniem Dominik.

- Że co? - nie zrozumiała Poppi.

- Totem! - powtórzył cierpliwie Dominik. - Takie pale wynaleźli kanadyjscy Indianie. Widzieliście je na pewno w westernach, często przywiązywano do nich jeńców. Ale ich znaczenie jest zupełnie inne. Taki totem był symbolem potęgi i bogactwa plemienia. Przyjrzyjcie się, to plemię posiada ziemie, na których żyje mnóstwo zwierzyny.

- Trochę mnie to dziwi! - wtrąciła Lilo. - Przecież tutaj Indianie zostali zepchnięci do rezerwatów. Biali osadnicy wytrzebili ich pewnie jak wszędzie. Swoją drogą, co za świństwo!

Młodzi detektywi z podziwem obserwowali kunsztownie zdobiony, co najmniej czterometrowy pal. Widniały na nim łby niedźwiedzi, wielorybów, lwów morskich, orłów, szopów i łososi, czyli zwierząt żyjących na tych terenach.

Cała czwórka obserwowała, jak obok Indian gromadzi się coraz gęstszy tłum turystów, w tym uczestnicy obozu sportowego. Fotorreporter zaczął robić zdjęcia,

pojawiły się także dwie ekipy telewizyjne z kamerami.

Gdy totem wreszcie stanął, Indianie rozłożyli wokół niego porąbane drwa, które następnie podpalili. Płomienie strzeliły wysoko w górę, liżąc drewno totemu.

- słuchajcie, po co ooni palą taki piękny totem? - spytał nerwowo Axel.

Ubrani w dzinsy, sportowe kurtki i baseballowe czapki Indianie zwrócili w jego stronę poważne, nieruchome oblicza.

- Jako ostrzeżenie! - odparł jeden z nich. - Grozi wielkie nieszczęście. Jeśli uda się zapobiec wielkiemu nieszczęściu, nie wydarzy się coś jeszcze gorszego. Ale tylko wtedy, gdy nasze ostrzeżenie sotrze do właściwych uszu i oczu.

Po tych słowach Indianie skłonili się głęboko przed totemem i rozpoczęli rytualny taniec dookoła płonących drzew. Śpiewali przy tym przeciągle żalospesję. Następnie pomodlili się w milczeniu, ze wzrokiem utkwionym w niebo, po czym spokojnie się oddalili.

Oszołomieni widzowie spoglądali za nimi ze zdziwieniem. Nikt nie pojął tajemniczych słów Indianina. Ostrzeżenie musiało mieć coś wspólnego z przyrodą i zwierzętami, ale akurat dzięki panu Andersonowi udało się zrobić wiele w dziedzinie ich ochrony.

O co mogło chodzić Indianom?

Głęboko zamyśleni przyjaciele wracali główną ulicą. Przy gmachy teatru Dominik się zatrzymał, studiując stare plakaty z tytułami wystawianych tu niegdyś dramatów: *Płonąca namiętność*, *Namiętne pocałunki na prerii*, *Klementyna, córka górnik*.

Między plakatami wisiała wydrukowana informacja dla turystów, że teatr będzie nadal nieczynny. Za miesiąc zaś na przedmieściach Barkerville miało się odbyć przedstawienie na świeżym powietrzu, opowiadające o romantycznej epoce poszukiwaczy złota. Obok rytualnych tańców indiańskich, rodeo, pokazów zręczności i reżyserowanego napadu na powóz wiozący złoto przewidziano także występ oswojonych wilków.

Oswojone wilki? Dominik kilka razy przeczytał tę informację. Pokazał ją też przyjacielom, którzy natychmiast pomyśleli o tym samym co on. Pobiegli do przebranej w stórz z epoki poszukiwaczy złota kobiety, która przechadzała się ulicą, odpowiadając na pytania turystów, i zagadnęli ją o wilki. Czy te zwierzęta żyją tu gdzieś w okolicy?

Kobieta skinęła głową. Wilki mieszkają na farmie po drugiej stronie jeziora.

Lilo w zamyśleniu ugniała czubek nosa.

- To dla mnie ostateczny dowód, że nie mamy do czynienia z prawdziwymi wilkołakami - oznajmiła. - Za tym wszystkim stoją ludzie chcący osiągnąć bardzo konkretny cel. Przychodzi mi do głowy tylko zastraszenie pana Andersona. Ktoś chce go do czegoś zmusić...

- Chyba nie do tego, żeby pozwolił na dalsze pompowanie ropy naftowej! - zachnął się Axel.

Lilo jednak uważała, że to całkiem możliwe.

- A może... - urwał z namysłem Dominik. - ...Może to ten jego brat Simon chce odzyskać swoją część majątku!

Również ten pomysł brzmiał dość wiarygodnie.

- Tak czy inaczej przeszkadzamy ludziom, którzy zaplanowali ten cały cyrk, dlatego wczoraj w nocy próbowali nas zastraszyć! - podsumowała Lilo.

Młodzi Detektywi postanowili udać się do pana Andersona i poważnie z nim porozmawiać.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY:

Legenda numer 2

Jednocześnie z czwórką przyjaciół pod domem ojca Bocy znalazł się Simon. Liczne zgrubienia i blizny, które widać było na jego nieforemnej głowie, płonęły żywą czerwienią.

Gdy mężczyzna zsiadał ze swojego rozklekotanego motoru, coś wypadło mu z kieszeni wytartej skórzanej kurtki, pod którą skrywał sporych rozmiarów czworokątny przedmiot.

Zanim Simon zdążył się schylić, uczynny jak zawsze Dominik podniósł i podał mu upuszczoną metalową rurkę, która przypominała zbyt długą fajkę. Osilek podziękował mu krótkim skinieniem i już chciał ruszyć w stronę domu.

Lilo prychnęła z oburzeniem i zawołała:

- On maczał w tym palce! Nareszcie to zrozumiałam. To jest świstawka... wilki posłuchały gwizdania... uczono je reagować na taki gwizd!

Lilo wyrwała zaskoczonemu mężczyźnie świstawkę z dłoni i dmuchnęła w nią z całej siły. Rozległ się taki dźwięk, jakiego się właśnie spodziewała.

- To pan! Dorwał pan także Becky, prawda? Przetrzymuje ją pan! - zawołała oskarżycielsko.

Simon uniósł ręce w górę uspokajającym gestem i szepnął błagalnie:

- Cicho bądź! Uspokój się wreszcie. Proszę! Proszę. Ja... Spotkajmy się za pół godziny. Muszę z wami porozmawiać, ale błagam, nie róbcie teraz rabanu. Proszę was!

- Nie, jeśli chce pan z nami pogadać, to teraz! - zażądał Axel.

Brat pana Andresona zerknął w kierunku oddalonego o jakieś pięćdziesiąt metrów domu. Wyraźnie bardzo się śpieszył. Wreszcie postanowił jednak udzielić wyjaśnień i pociągnął dzieci za sobą w stronę grupy gęstych, obsypanych kwiatami krzewów. Ustawił się tak, żeby nie było nic widać z okien domu, i odezwał się cichym głosem:

- Wszystko przedstawia się zupełnie inaczej, niż z pozoru wygląda. Proszę, żebyście przyjęli to do wiadomości i trzymali się z dala od całej sprawy. Przeszkadzacie w czymś naprawdę ważnym.

- Doprawdy? - wypalił z ironią Dominik. - Cóż jest takiego ważnego w tym, żeby wykończyć pewnego człowieka?

- Czy nie możecie mi po prostu uwierzyć i poczekać jeszcze jeden dzień? - spytał błagalnie Simon.

- Nie! - brzmiała zdecydowana odpowiedź Lilo.

Wtedy Simon wyjął z kieszeni małą buteleczkę i bez ostrzeżenia spryskał całą czwórkę słodkavo pachnącą mgiełką. Nie przestawał przyskać, mimo iż powietrze pobielało od chmury drażniącego zapachu, który owiał głowy młodych detektywów.

Musiała to być substancja podobna do ziół, jakie wilkołaki wrzucały do ognia, bo jej woń sprawiła, że cała czwórka nie zdołała dłużej ustać na nogach i bezwładnie osunęła się na ziemię.

Simon przyjrzał się im z namysłem, po czym ułożył wygodnie jedno obok drugiego, tak że z prowadzącej do domu ścieżki nie sposób było ich odkryć. Szybkim krokiem udał się do domu brata i zadzwonił do drzwi.

Otworzył mu blady jak ściana pan Anderson. Zazwyczaj tak starannie umyte i uczesane włosy lepiły się do czaszki tłustymi pasmami. Miał na sobie nieświeżą, przepoconą koszulę i zmięte spodnie. Podsinione oczy zapadły mu się głęboko.

Po wybuchu gniewu, którym dwa dni wcześniej powitał swego brata, nie zostało teraz ani śladu.

- Wejdz! - zwrócił się do Simona słabym głosem.

Axel omal nie pękł z braku powietrza. Twarz nabiegła mu krwią, bo przez prawie dziewiędziesiąt sekund wstrzymywał oddech. Kilka razy wydawało mu się, że już dłużej nie wytrzyma, a ten głupi Simon zamiast odejść, łąził w kółko i układał bezwładne ciała jego przyjaciół.

Teraz nareszcie chłopak mógł zaczerpnąć tchu. Nabrał w płuca wielki haust powietrza, aż zakręciło mu się w głowie.

Tylko Axel zareagował prawidłowo - wstrzymał oddech i dzięki temu nie stracił przytomności. Pochyliwszy się nad resztą członków Klubu Detektywów, bezskutecznie próbował przywrócić im świadomość. Wyglądali na pogrążonych w głębokim, spokojnym śnie.

Wobec tego, zgięty w pół, pod osłoną zarośli, podkraść się pod dom. Perspektywa samotnej akcji bynajmniej go nie cieszyła, ale nie miał wyjścia. Był w końcu młodym detektywem, który nigdy nie odpuszcza. A już zwłaszcza teraz, gdy wyjaśnienie zagadki było tak blisko.

Przez okno kuchenne zajrzał do wnętrza domu. Obaj bracia stali tyłem do okna i na szczęście nie zauważyli intruza.

Simon wydawał się mocno rozdrażniony, podczas gdy jego brat sprawiał wrażenie, że zaraz upadnie.

- Gdy zacząłem pisać... kronikę rodzinną - mówił ojciec Becky - odkryłem pewien bardzo istotny fakt!

Axel przeczuwał co teraz nastąpi - legenda o wilkołakach.

- Wielokrotnie natykałem się na osobliwe świadectwa. Wynikało z nich, że naszej rodzinie grozi nieszczęście za sprawą wilkołaków, gdyby... gdyby... gdyby zaplanowała jakiś haniebnny postępek... łajdactwo... czy też zbrodnię. Najstarsza córka miała wówczas zostać porwana przez watahę tych potworów i nie byłaby w stanie sama się uwolnić. Mogła umrzeć, zabita trzecią srebrną kulą, albo... albo rodzina opamiętałaby się i odstąpiła od swoich haniebnych, szkodliwych dla innych ludzi planów. Wówczas dziewczyna miałaby szansę powrotu do normalnego życia. A ja... zawsze uważałem to za durną bajeczkę!

Axel szalenie się zdziwił. Dlaczego pan Anderson opowiedział im zupełnie inną historię?

- Dobrze wiesz, że bardzo cenię mój ród i jego tradycję. Jestem dumny, że noszę nazwisko Anderson. Jednak nigdy nie przypuszczałem, że dawna klątwa może obowiązywać jeszcze dziś.

Simon słuchał dotąd w milczeniu.

- A jednak ciąży ona na naszym rodzie i prześladowuje go od stuleci! - odezwał się patosem.

Pan Anderson zaczął płakać. Ukrył twarz w dłoniach i zaszlochał:

- Becky... ja... to moja wina, bo... bo pozbawiłem cię majątku! - wyrzekł niewyraźnie i chciał objąć brata ramieniem, jednak ten strząsnął jego rękę.

- Nie sądzę, żeby taka była przyczyna. Nie potrzebuję tych pieniędzy. Dobrze mi się żyje bez wielomilionowego ciężaru! - odrzekł sucho Simon.

- A więc uważasz, że chodzi o coś innego? - przeraził się pan Anderson.

Simon bez słowa skinął głową.

Zadzwoił telefon i ojciec Becky zniknął w salonie.

Rozglądając się ukradkiem, Simon wyjął spod kurtki segregator. Axel natychmiast go rozpoznał. Był taki sam jak segregatory, które pan Anderson trzymał na swoim regale.

- Simon! Simon! - krzyknął drżącym głosem ojciec Becky. Gdy wszedł do kuchni, był jeszcze bledszy niż przedtem. - Jakiś głos... w słuchawce... powiedział, że trzecia kula została już załadowana.

- I co teraz zrobisz, Bob?
- Jedziemy do fabryki. Chyba wiem, o co im chodzi. Pojedziesz ze mną? Bardzo cię proszę!

Jego brat skniął bez słowa głową.

Pan Anderson pobiegł po kluczyki. Simon, który trzymał segregator za plecami, rozglądał się teraz za miejscem, gdzie mógłby go ukryć. A więc to on wykradł część rodzinnych dokumentów. Stąd wiedział o kłątwie wilkołaka. Axel był absolutnie pewien, że to on stał za makabrycznymi wydarzeniami. Ale dlaczego? I co zamierzał?

Axel przyjrzał się dużej, luksusowej limuzynie ojca Becky. Niewiele myśląc, otworzył obszerny bagażnik i wskoczył do środka. Miał zamiar się dowiedzieć, co teraz będzie.

Z wnętrza domu dobiegł straszny wrzask. To pan Anderson ryczał jak zarzynane zwierzę. Rozległ się ogłuszający huk wystrzału, Axel aż skulił się i wciągnął głowę w ramiona.

Drzwi domu otworzyły się gwałtownie, na żwirze zazgrzytały czyjeś kroki. Bob Anderson nie przestawał krzyżeć, ale Axel nie mógł rozróżnić słów, bo jednocześnie usłyszał Simona, który mówił coś zdecydowanym, przyciszonym głosem.

Co się tu właściwie dzieło??

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY: Niespodziewana wizyta

Jazda limuzyną trwała niecałe dziesięć minut. Bob Anderson przez cały czas nie przestawał szaleć, ale Axel nie potrafił zrozumieć dlaczego.

Samochód zwoił nieco, rozległ się przeciągły pisk opon. Zanim Axel wskoczył do bagażnika, sprawdził, czy da się go otworzyć od środka. Panicznie bał się zamknięcia w ciasnej przestrzeni, bał się, że nikt go stamtąd nie uwolni, a wtedy on się udusi albo umrze z głodu.

Ostrożnie nacisnął zapadką i minimalnie uchylił klapę. Przez wąską szparę wyjrzał na zewnątrz.

Przejeżdżali właśnie przez wysoką, co najmniej pięciometrową żelazną bramę, która z głośnym zgrzytaniem automatycznie zamknęła się za nimi. Samochód mijają olbrzymie zbiorniki na ropę, tysiące rur i pokręteł, za pomocą których można było zamykać i otwierać zawory.

Wiele pomp pracowało, ich koła zamachowe kręciły się nieprzerwanie, pompując do rur to, co udało im się wydobyć.

Limuzyna stanęła przed budynkiem biurowca, obaj mężczyźni wysiedli. Axel odczekał jeszcze kilka minut, by się upewnić, że nikt go nie zobaczy, po czym lekko zeszywniały wyskoczył z bagażnika.

Opustoszały teren stacji wiertniczej sprawiał ponure wrażenie. Nagle Axel uświadomił sobie, dlaczego jest tu tak pusto - przecież była niedziela, dzień wolny od pracy.

Spróbował zajrzeć przez okno, lecz tym razem nie miał szczęścia - zauważył tylko schody.

Zebrał się na odwagę, zaczerpnął głęboko powietrza i zamarł. Poczul panujący tu smród, który boleśnie dźgał go w nozdrza. Nie był to odór ropy, tylko... tej dziwacznej brei, z którą miał już do czynienia w opuszczonej kopalni złota. W zamieszaniu spowodowanym nadpiłowaniem hamulców ani Axel, ani Becky nikomu o tym nie powiedzieli. Co to za ohydny fetor?

Młody detektyw rozejrzał się dookoła. Jak okiem sięgnąć, ani żywej duszy.

Błyskawicznie otworzył drzwi i wskoczył do wnętrza budynku. Z piętra dochodziły głosy Boba i Simona.

Axel skulił się, niemal na czworakach pokonał schody i dotarł do długiego korytarza. Drzwi po prawej stronie były nieco uchylone. Obaj bracia znajdowali się za nimi.

Bob Anderson miotał obelgi i oskarżenia.

- Oszust! Szaleniec! Chciałeś mnie zrujnować! - ryczał wściekle. - Prawie się już na to nabrałem! Ale teraz już wiem, że to ty ukradłeś segregator i dowiedziałeś się o wilkołakach w naszej rodzinie! To wszystko marne sztuczki, twoja robota, bo chcesz mnie wykończyć. Ale nie uda ci się, o nie!

A więc pan Anderson zauważył, że Simon stara się ukradkiem odstawić segregator, i to właśnie spowodowało jego nagły wybuch wściekłości.

Bob Anderson zmusił brata, by gdzieś zatelefonował. Axel usłyszał imię Becky i coś o "przyjściu... w kostiumach".

Po zakończeniu rozmowy między braćmi zapadło milczenie.

Axel spojrział na zegarek. Minęło już prawie pół godziny, a Bob Anderson nie robił w tym czasie nic innego, tylko nerwowo chodził po pokoju.

Rozległ się przenikliwy pisk. Słyszac go, pan Anderson gwałtownie otworzył drzwi i wybiegł na korytarz.

Axel przeżył najstraszniejsze chwile swojego życia. Stał przecież za drzwiami, a od pana Andersona dzieliły go dw, najwyżej trzy matry.

Ojciec Becky oparł się o parapet, obserwując rozległy plac, na którym zostawił samochód.

Odgłosy z parteru świadczyły o tym, że ktoś wszedł do budynku. Zachowanie pana Andersona zmieniło się nie do poznania. Zniknęły przygarbione plecy, wyprostował się dumnie na całą wysokość. Axel patrzył ze zdumieniem, jak mężczyzna wykonuje ukłon przed kimś, kto właśnie przyszedł. Głęboki ukłon. Gestem zaprosił przybysza do swojego biura.

Z odgłosu kroków na schodach Axel wywnioskował, że przybyszów musi być więcej. Gdy ostatni zniknął już w pokoju, pan Anderson wyjął zza pasa broń. Na sam jej widok Axel zadrżał z przerażenia.

Mężczyzna z głośnym trzaskiem odbezpieczył broń, celując z niej w swoich gości. Powoli wszedł do biura. Axel stał rozplaszczony na ścianie, trząsł się, pocił, z najwyższym trudem opanowując zdenerwowanie.

Bob Anderson jeszcze raz wyrzwał na korytarz, chwytając ręką za kant drzwi. Jego palce znajdowały się najwyżej dziesięć centymetrów od twarzy Axela. Jeden fałszywy ruch i Anderson go dotknie.

Drzwi zatrzęsły się za ojcem Becky.

Axel odetchnął z ulgą i natychmiast pochylił się do dziurki od klucza. Zajrzał do środka, a to, co zobaczył, niemal pozbawiło go tchu.

Leżący na trawie pod osłoną krzewów Lilo, Dominik i Poppi powoli odzyskiwali świadomość. Usiedli i przecierali oczy, jakby przespali trzy długie dni. Pamięć nie wróciła im od razu; przez dłuższy czas nie mieli pojęcia, gdzie się tu znajdują i jak tu trafili. Powoli, bardzo powoli wracali do siebie. Podnieśli się z trudem, po czym stwierdzili, że brakuje Axela. Gdzie on się podział?

Wszyscy troje zaczęli się przeciągać i masować zeszywniałe kończyny, czując mrowienie. Nagle przed domem Andersenów pojawiła się rozklekotana furgonetka. Była bardzo stara, zardzewiała i robiła mnóstwo hałasu.

Pojazd się zatrzymał, ktoś otworzył tylną kłapę. Trójka ukrytych za krzewami detektywów obserwowała całą scenę z szeroko otwartymi oczami.

Z furgonetki wysiadły cztery wilkołaki, ostrożnie niosąc w owłosionych łapach

nieprzytomną dziewczynkę. Delikatnie położyły ją przed drzwiami, wskoczyły do furgonetki i odjechały.

Młodzi detektywi natychmiast podbiegli do leżącej i uklęki przy niej.

- To na pewno ta Becky! - oznajmił Domniki. - Axel właśnie tak ją opisał.

Lilo delikatnie poklepała dziewczynkę po policzku, starając się przywrócić jej świadomość, ale Becky nie reagowała. Sprawiała wrażenie pogrążonej w głębokim śnie.

- Słuchajcie, wnieśmy ją do środka - zaproponowała Poppi. - Pan Anderson na pewno ogromnie się ucieszy!

Dzwonili i stukali, ale nikt nie otwierał. Okazało się jednak, że drzwi nie były zamknięte na klucz, więc zwyczajnie weszli do środka. Zanieśli Becky do salonu i położyli na miękkiej sofie.

- Hej, spójrzcie tu! - zawołał Dominik, wyjmując wciśnięty za poduszki sofy segregator. Przeczytał nalepkę i głośno zagwizdał. - To dokumenty do kroniki rodzinnej, które rzekomo zaginęły. Ciekawe, jak się tu znalazły?

Poppi pobiegła do kuchni i wróciła z torebką lodu. Położyła ją Becky na czole i czekała na reakcję.

Dziewczynka westchnęła głęboko i otworzyła oczy. Na widok pełnych oczekiwania twarzy młodych detektów wyprostowała się z przerażeniem.

- Kim... kim jesteście? Co tu robicie? - wyjąkała.

- Jesteśmy przyjaciółmi Axela - wyjaśniła Lilo.

- Axel... Axel... widziałam go... nie wolno mu wchodzić do lasu.... on... on...! -

Becky urwała i ze znużeniem opadła na miękkie poduszki sofy.

Zadzwoił telefon.

- Chcesz, żebym odebrała? - spytała Lilo.

Becky skinęła głową.

Liselotte pobiegła do gabinetu i chwyciła słuchawkę telefonu.

- Halo? - odezwała się.

Ze słuchawki dobiegł głos zdumionego pana Andersona. Upewniwszy się, z kim rozmawia, powiedział głośno i wyraźnie:

- Ach, to ty, Lilo!

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY: Inaczej dojdzie do katastrofy

Axel wstrzymał oddech. Wciąż jeszcze przykucnięty przed drzwiami biura Andersona, zaglądał do środka przez dziurkę od klucza. A więc jego przyjaciele odzyskali przytomność i weszli do domu ojca Becky. Czy to źle, czy dobrze? Czy byli bezpieczni, czy wprost przeciwnie?

- Czy moja córka wróciła? - spytał Bob Anderson, starając się, żeby jego głos brzmiał bardzo spokojnie i przyjaźnie.

Jadnocześnie trzymał na muszce znajdujących się w jego biurze ludzi.

Liselotte zawołała Becky do telefonu. Jej ojciec prawie się rozplakał z radości i ulgi, że córka jest już bezpieczna, i obiecał jak najszybciej wrócić do domu. Wcześniej musiał jednak załatwić pewien dorbiasz. Przesłał Becky całusy i zapewnił, że ogromnie ją kocha.

Odłożywszy słuchawkę, spojrział na dziesięć tajemniczych, przyciśniętych do ścian postaci.

Były to wilkołaki, które za dnia wcale nie wyglądały tak przerażająco jak w nocy. Z uniesionymi do góry łapami gapiły się na pistolet Andersona.

Bob Anderson powoli podszedł do wilkołaków, po czym z nagłą wściekłością zaczął z nich zdierać jedną maskę po drugiej. Rzucił je na podłogę i z furią deptał. Wyrzeszczał przy tym oczy i dziko wymachiwał pistoletem.

Zza wilczych masek wyjrzały ciemne, poważne twarze Indian, których Axel wraz z przyjaciółmi widział w maisteczku Barkerville.

- Bob, proszę cię! choć raz w życiu spróbuj nie myśleć wyłącznie o sobie! - odezwał się błagalnie Simon.

Te słowa tak bardzo rozwścieczyły jego brata, że strzelił prosto w podłogę.

Przeżaszony Simon przywarł do ściany i umilkł.

- Sprytnie to sobie wymyśliłeś, braciszku. Bardzo sprytnie, ale nie do końca. Czy poza twoimi kumplami Indiancami ktoś jeszcze zna ten twój plan?

Simon zatrząsł się z oburzenia.

- Nie mów o nich z taką pogardą, Bob! - wysyczał.

W odpowiedzi padł drugi strzał, który trafił Simona w stopę. Potężny mężczyzna wykrzywił twarz z bólu i osunął się na podłogę.

- Czy poza twoimi kumplami Indiancami ktoś jeszcze zna ten twój plan? - powtórzył dobitnie Bob, odrzucając nerwowym ruchem włosy z czoła.

- Nie... nikt! - wycedził Simon przez zęby.

- Bardzo dobrze! I niech tak zostanie. Chcicie się pewnie dowiedzieć, co ja tu robię, prawda? Po to był ten cały cyrk i straszenie, tak?

- Tak! - jęknął Simon.

- Świetnie, wobec tego pokażę wam wszystko, a potem sobie o tym porozmawiamy. Jestem gotów to zrobić!

W oczach Simona pojawiło się zdumienie i radość.

- Naprawdę?

Bob Anderson skinął głową.

- A więc nie uszło waszej uwagi, że przepompowuję tu miliardy ton morskiej wody? - spytał.

- Owszem. Ten rurociąg jest wadliwie zbudowany i przecieka. Woda wypłukała z rur pozostałości ropy i wyciekła na zewnątrz. Zatrąła znajdujące się w pobliżu rurociągu jeziora, wyginęło mnóstwo ryb. Również rzeki zostały zanieczyszczone. Oprócz Indian nikt tego nie zauważył. Bardzo szybko udało im się ustalić, że ryby, szpory i ptaki giną właśnie przez twój rurociąg - odparł Simon.

- A potem twoi czerwoni kole... aa... Indianie przyszli do mnie i chcieli wiedzieć, czym się zajmuję? - pytał dalej Bob.

- No a ty oznajmiłeś, że rurociąg wymaga oczyszczenia. Minęło trochę czasu, a ty nadal pompowałeś morską wodę. Po co? Gdzie ona się teraz znajduje? Co ty zamierzasz, Bob? - drążył Simon. - Indianie sądzą, że może dojść do katastrofalnego zanieczyszczenia środowiska i że to twoja sprawka!

- A więc tego się po mnie spodziewasz, braciszku? - wycedził Bob. - W sumie nic w tym dziwnego, zawsze tak było. Nikt w tej rodzinie nie miał o mnie dobrego zdania. Wszyscy uważali mnie za łupca, tyle że przystojnego. Ale ty... ty zawsze byłeś fajnym chłopakiem. Dobrze się uczyłeś, wszyscy się lubili... A ja byłem twoim trochę tępowym straszonym bratem. Ale to się zmieniło. Ja sam to zmieniłem. Tego dnia, kiedy oblewałeś swój dyplom i kompletnie się upiłeś, pobiliśmy jakiegoś Indianina i położyłem cię obok niego. Chciałem, żeby myśleli, że to twoja sprawka.

- Co takiego? - Simon chciał wstać, ale ból w zranionej stopie był zbyt silny.

- Mój plan powiódł się znakomicie. Nareszcie się ciebie pozbyłem. Po śmierci naszych rodziców odziedziczyłem takie mnóstwo forsy, że sam nie wiem, na co mam ją wydać! Jednak pieniądze to nie wszystko, chciałem dokonać czegoś takiego, co pozwoliłoby wszystkim ujrzeć we mnie geniusza. Chciałem dowieść wielkości mojego

umysłu. Taki dowód obecnie istnieje. Dokonałem wielkiego odkrycia!

Axel zaczął nabierać podejrzeń, że pan Anderson zwariował. Jego głos, jego oczy sprawiały wrażenie szalonych. Postanowił zawiadomić policję. Jeśli ojciec Becky miał dobre intencje, to dlaczego goził Simonowi i Indinom pistoletem?

Axel przekradł się korytarzem do pokoju obok. Prawdopodobnie było to biuro sekretarki pana Andersona. Podbiegł do biurka i spojrzął na aparat telefoniczny, Czy Anderson zauważy, jeśli zatelefonuje na policję? Czasami w gabinetach szefów zapalały się lampki oznajmiające, że sekretarka właśnie rozmawia przez telefon.

"Nawet jeżeli tak, Anderson jest teraz zbyt zajęty Indianami i swoim bratem" - pomyślał rozsądnie Axel. Podniósł słuchawkę i zneruhomiał. Nie miał pojęcia, jaki jest numer kanadyjskiej policji!

Drżącymi rekoma zaczął szukać książki telefonicznej, znalazł jednak tylko notes sekretarki. Otworzył go pośpiesznie i już na początku odkrył zapis: BOB ANDERSON, DOM. W domu Andersona byli teraz jego przyjaciele! Świetnie, wobec tego zadzwoni do nich.

Po kilku sygnałach Becky podniosła słuchawkę. Doszła już do siebie i niecierpliwie czekała na powrót ojca. Reszta dzieciaków także nie mogła się już doczekać. Musieli mu przecież koniecznie opowiedzieć o zniknięciu Axela i swoich podejrzeniach, że Simon maczał w tym palce!

- Lilo, dzwoni Axel, szybko, chodź tu! - zawołała z gabinetu Becky.

Lisielotte kilkoma susami dopadła do telefonu i chwyciła słuchawkę.

- Axel, gdzie jesteś? Co z tobą, wszystko okej? - spytała niecierpliwie.

- Lilo, posłuchaj mnie uważnie. Jestem na terenie starej stacji wiertniczej... - zaczął Axel, ale w tym momencie jego połączenie zostało przerwane.

Oszołomiona Lilo gapiała się na aparat. Dlaczego Axel tak nagle odłożył słuchawkę?

- Co się dzieje? - spytała Becky. Lilo przytoczyła jej słowa Axela, na co Becky zaczęła wybierać numer.

- Może tatuś również tam jest! - wyjaśniła.

Ale nikt nie odebrał telefonu.

Mniej więcej po kwadransie telefon zadzwonił ponownie.

- Axel, to ty? - spytała Becky.

- Tak, to ja. Daj mi Lilo... szybko!

Becky przekazała słuchawkę.

- Lilo, żadnych pytań. Jestem tam, gdzie mówiłem. Słuchaj, Simon zwariował. Grozi ojcu Becky. Tylko nie wzywajcie policji, bo go zabije. Przyjedźcie tu, szybko! Nie możecie wejść na teren zakładu, bo wokół jest wysokie ogrodzenie, i to pod proądem. Pan Anderson przechowuje to coś potwornie ważnego i cennego, coś, co może... uratować połowę Kanady, rośliny i zwierzęta. Simon chce to koniecznie zniszczyć. Wejdziecie tu przez pusty rurociąg. Jakies trzysta metrów na zachód od ogrodzenia znajduje się budka strażnika, taki mały domek. Macie odkręcić wszystkie pokrętła, słyszysz? To ważne - odkręcić! A potem otwórzcie klapę. Przez rurociąg dostaniecie się na teren zakładu. Czekam na was tam, gdzie wyjdziecie na powierzchnię. My... musimy coś wykonać, tylko nie wzywajcie policji, bo dojdzie do katastrofy!

Lilo obiecała, że natychmiast wyruszą w drogę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY: Nie wolno nam się teraz klócić!

Becky, która wciąż jeszcze była bardzo słaba, została w domu. Usprawiedliwiała się raz po raz, czując się jak zwykły tchórz. Drżała o życie ojca i koniecznie chciała pośpieszyć mu na ratunek, ale naprawdę nie miała siły.

- Bardzo dobrze, że zostaniesz! - pocieszyła ją Lilo. - Gdybyśmy potrzebowali pomocy, będziemy mogli do ciebie zadzwonić.

Becky pożyczyła im dwa naprawione już rowery. Lilo i Dominik wskoczyli na siodełka, a Poppi przysiadła na bagażniku. Po półgodzinnej jeździe dotarli do budki strażnika. Becky bardzo dokładnie opisała im drogę.

Weszli i latarkami oświetlili wnętrze, w którym ohydnie śmierdziała ropa. Ujrzeni płataninę grubych rur i co najmniej dwadzieścia metalowych pokręteł, którymi zamykało się lub otwierało przepływ.

- Axel powiedział, że mamy je odkręcić! - odezwała się Lilo, przyglądając się z bliska pokrętom. Niektóre były wielkości kierownicy auta.

- W którą stronę się je odkręca? - spytała Poppi.

Za każdym razem, gdy chciała coś odkręcić, na przykład ogrodowy kran, musiała próbować w obie strony. Najczęściej z resztą zaczynała od niewłaściwej.

- W lewo, w przeciwną stronę, niż ruch wskazówek zegara - odrzekła Lilo.

Domink zorbził zdumioną minę.

- Przedtem mówiłaś, że mamy je zakręcić! - zawołała.

- Przestań bredzić, stary! Mieliśmy je odkręcić, jestem tego całkowicie pewna! - ofuknęła go Lilo.

- No co ty, zakręcić, czyli w prawo! - obstawiał przy swoim Dominik.

Pamiętając o swoich zwykłych wyczynach z pokrętłami, Poppi nie brała udziału w ich sporze.

- Przekrecamy w lewo! - postanowiła Lilo.

Domink nie dał jednak za wygraną.

- A właśnie, że w prawo! - Nie zawsze masz rację, panno Mądralo. Jestem absolutnie pewny tego, co mówię! W prawo!

Lilo prychnęła gniewnie.

- Jak można być tak beznadziejnie upartym? - wycedziła, tupiąc nogą.

- To ty jesteś uparta! - zachnął się Dominik.

- Jestem starsza od ciebie. To ja decyduję, jak ma być! - stwierdziła Lilo i przekręciła wszystkie pokręta w lewo.

Dominik obserwował ją gniewnie ze skrzyżowanymi na piersi rękami.

Lilo opanowała złość i odezwała się pojednawczo:

- Jeśli kierunek był właściwy, będziemy mogli teraz otworzyć wąż. Tyle powiedział mi Axel! - Rozejrzała się dookoła i w kącie budki odkryła klapę wjazdu. Pociągnęła za uchwyt - ciężka metalowa klapa łatwo dała się unieść. - No proszę, miałam rację! - oznajmiła z triumfem w głosie.

Nigdy dotąd Dominik nie czuł takiej złości. Był śmiertelnie obrażony na Lilo, która wyobrażała sobie nie wiadomo co tylko dlatego, że była trochę starsza od niego. Nie chciał teraz wszczynać kłótni, ale przy najbliższej okazji zamierzał się zemścić!

Lilo odkryła metalowe stopnie na ścianie szerokiej rury, która prowadziła do wjazdu. Światło latarki wydobyło też dno innej, poziomej rury - to musiał być ten rurociąg.

Liselotte powoli opuściła się w głąb wjazdu, po czym zawołała przyjaciół. Poppi ruszyła za nią, natomiast Dominik, którego duma została poważnie nadwyręzona, ostrożnie przymknął klapę wjazdu i podbiegł do pokręteł. Szybko przekręcił je wszystkie zgodnie z ruchem wskazówek zegara i pognął z powrotem do wjazdu. Chwytał klapę i chciał ją podnieść do góry, ale nie drgnęła. Łzy napłynęły mu do oczu. Lilo miała rację, a jego upór sprawił, że stracili tylko czas. Już chciał wrócić do pokręteł, lecz postanowił jeszcze raz spróbować z klapą. Może była po prostu za

ciężka.

Tym razem się udało, właz stanął przed nim otworem. A jednak miał rację! A przynajmniej tak samo jak Lilo zdołał otworzyć klapę włazu.

- Dominik? Co ty tam robisz? Chodź! - krzyczały Lilo i Poppi, które zdążyły już przejść kawałek drogi.

Dominik rzucił się naprzód. Rura była na tyle wysoka, że mógł biec z lekko pochyloną głową.

Każdy szmer odbijał się tu zwielokrotnionym echem.

Dominik stwierdził z przerażeniem, że czuje się bardzo dziwnie. Miał wrażenie, że grube stalowe ściany napierają na niego ze wszystkich stron. Rura zdawała się gwałtownie zwięzać. Zaciskał powieki, otwierał je i szybko mrugał. Co się z nim dzieje?

Poczuł mdłości i zakręciło mu się w głowie.

- Lilo! Lilo! Ja... ja...! - zawołał nie swoim głosem.

Rozzłoszczona przyjaciółka odwróciła się do niego i wrzasnęła:

- Jak wolisz się przewracać w ciepłym łóżeczku, to spadaj stąd, ale już! Musimy jak najszybciej dotrzeć do Axela. On nas potrzebuje, ty... ty maminsynku!

Jej słowa trafiły Dominika niczym siarczysty policzek! Zagryzł mocno zęby. Najchętniej by się teraz rozryczał!

Posuwał się coraz głębiej w głąb rurociągu. Odór ropy i soli morskiej zatykał im nosy jak zatyczka z wosku.

Od telefonu Axel upłynęło już siedemdziesiąt minut, w ciągu których na terenie zakładu mogło się wiele wydarzyć. Lilo strasznie się martwiła i bała o przyjaciela. Wpatrywała się w ciemność przed sobą, rozświetlaną jedynie wąziutkim promieniem latarki.

W ten sposób przeoczyła niewielki, cuchnący siarką ktrumyczek, który pelzł im naprzeciw, stopniowo się rozszerzając.

- Szybciej, ruszajcie się! Musimy zwiększyć tempo! - pokrzykiwała do dwójki przyjaciół.

W końcu straciła cierpliwość i zaczęła biec. Echo jej szybkich kroków zahuczało w ciemnej rurze.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY: Najstraszniejsze "rozwiązanie"

Niczym w zwolnionym tempie Axel odłożył słuchawkę na widelki po zakończeniu rozmowy z Lilo.

- Gdzeczny chłopiec! - pochwalił go pan Anderson. - W ten sposób bez tchu i raz na zawsze pozbędę się wszystkich świadków.

Przyłożywszy Axelowi pistolet do głowy, pociągnął go za sobą do biura, gdzie pod ścianą kulili się Indianie wraz z Simonem. Dobrze wiedzieli, że Anderson bez mrugnięcia okiem zastrzeliłby Axela, gdyby tylko któryś z nich spróbował jakiegś sztuczki.

- Poczekamy teraz na naszych przyjaciół, a kiedy nadejdą, rozpocznę mój pokaz - powiedział mężczyzna z okrutnym uśmiechem.

Po godzinie stojący na biurku komputer zameldował, że w rurociągu znajduje się troje ludzi.

- No to możemy ruszać! - oznajmił z zadowoleniem Anderson, pocierając dłonią

czoło.

Trzymając w pogotowiu pistolet, kazał Indianom, rannemu w stopę bratu i Axelowi wyjść przez budynek. Zaprowadził ich do jednego z olbrzymich zbiorników, wysokich i szerokich jak płyciopiętrowa kamienica. Axel daremnie rozglądał się za możliwością ucieczki. Nie wątpił, że naraziłby w ten sposób siebie albo innych. Czyż jednak i tak nie znajdowali się w śmiertelnym niebezpieczeństwie?

Wspięli się po długich spiralnych schodach na górę. Axel wraz z mężczyznami musiał przez małe metalowe drzwiczki wejść do zbiornika.

Znaleźli się na platformie mniej więcej dwumetrowej szerokości, ciągnącej się wokół całego zbiornika. Przypominała Axelowi brzeg basenu, bo około metra pod nią lśmiło ciemne lustro jakiejś tajemniczej cieczy. Każdy ruch w zbiorniku wywoływał na jej powierzchni drobne kółka i fale.

Anderson stanął przed Axelem, Simonem i Indianami jak wykładowca i zaczął:

- Jak powszechnie wiadomo, tutejsze tereny - nawiasem mówiąc, w całości należące do mnie - tworzy porowata skała, niczym ementlaner podziurawiona podziemnymi grotami. Również góry są pełne korytarzy i jaskiń, w których na wiosnę zbiera się woda, spływająca następnie w dół. Do tego dochodzą tysiące kopalń złota.

Przeprowadzone na moje zlecenie badania geologiczne wykazały, że złoża złotego kruszcu na tych terenach bynajmniej się nie zmniejszyły. Tak, tak, leżą tu tony złota, lecz głęboko w skałę, w miejscach, do których ludzie nie mają prostego i łatwego dostępu. Zwykli ludzie nie, ale ja mam taki dostęp. Kupiłem te urządzenia wiertnicze, ponieważ ich poprzedni właściciele wydrążyli już mnóstwo szybów, trafiając jednak nie na pokłady ropy, lecz na skalne grotty, o których wspominałem. Dla poszukiwaczy ropy to katastrofa, ale dla mnie wielkie szczęście! Na moje polecenie wytworzono pewną substancję - gdy rozpuścić ją w morskiej wodzie, zamienia się w potwornie żrący kwas, który rozkłada wprawdzie skałę, ale nie tyka złota! Wyprodukowano dla mnie tę substancję w starych, nieczynnych obecnie zakładach chemicznych, po czym przetransportowałem ją tutaj. Następnie pompowałem wodę morską. No cóż, przykro mi, że zwierzątka nie zniosły tego najlepiej - uśmiechnął się krzywo pan Anderson.

Axel nie wierzył własnym uszom. Ojciec Becky wcale nie był zaangażowanym obrońcą przyrody, za jakiego powszechnie uchodził!

- Słoną wodę miesza się z ową substancją chemiczną, po czym powstaje przydatna dla mnie ciecz. Zalałem nią dużą część jaskiń oraz starych sztolni. po kilku dniach pompuje się to wszystko z powrotem do zbiorników, gdzie jest odsiewane i filtrowane. Moje zyski są już całkiem spore, chociaż nie do końca odpowiadają moim oczekiwaniom. Jest jeden problem - mówił dalej pan Anderson - mianowicie ów kwas stopniowo traci moc i trzeba się go pozbyć. zgadza się, to będzie katastrofa ekologiczna. Mam zamiar wylać go do morza! - oznajmił twardo.

Indianie wydali okrzyk grozy. Axel zrozumiał, co to oznacza. Wzdłuż wybrzeża zachodniej Kanady pływają orki. To czarno-białe wieloryby, które są ufnie wobec ludzi. Poza ty żyją tu morsy, foki, rosgwiazzy i tysiące ryb. Wszystkie zginą zatrute. A co z rzekami i jeziorami, łąkami i lasami, przez które biegnie nieszczęlny rurociąg? Wypływający z rur kwas poczyni nieodwracalne szkody!

- Opowiadam wam dzisiaj o tym wszystkim, ponieważ mam niezbitą pewność, że żaden z was nie przekaże tego dalej. Mój kwas jest wystarczająco żrący, żeby zamienić was w brunatną zupę! - wyjaśnił Anderson z krzywym uśmiechem. - Ale zanim to nastąpi, będziecie mogli zobaczyć, jak zaczyna się katastrofa, której tak się obawialiście. Poza tym w rurociągu znajduje się teraz kilka zwierzątek, które natychmiast muszą stąd wypłukać. Hej, ty, podejdź no tu do mnie!

Skierował pistolet w stronę Axela, który zbliżył się do niego z uniesionymi w górę rękami.

- Masz obrócić to pokrętło! - polecił, pokazując czerwony kran. - W ten sposób otworzysz odpływ!

Axel poczuł, jak sztywnieją mu mięśnie. Gdyby wykonał polecenie, zgładziłby swoich przyjaciół, których zwał tu na rozkaz podłego Andersona. Za nic nie mógł tego zrobić.

- Długo mam czekać? - Rozzłoszczony mężczyzna dwukrotnie wystrzelił w powietrze, a kule rykoszetem odbiły się z brzękiem od metelowych zbiorników. - Popatrz no!

Czubkiem buta zepchnął śrubokręt do zbiornika z kwasem. Rozległ się głośny syk, ciecz zabulgotała, znad jej powierzchni uniosła się biaława chmurka. Metal roztopił się w kwasie.

- A teraz kręć! - wycedził jadowicie Bob Anderson.

Axel upadł na beton i zaczął szlochać. Padł kolejny strzał, pocisk zazgrzytało metalową ścianę zbiornika. Dźwięk przypominał trzask pejcza.

Anderson kopniakiem odsunął Axela pod ścianę i sam chwycił pokrętło. Obrócił je w prawo, przekonał się, że to niewłaściwy kierunek, więc obrócił je w lewo. Najpierw pokrętło stawiało opór, lecz po chwili zaczęło się obracać coraz łatwiej i szybciej.

Z dołu dobiegł potężny grzmot i szum. Kwas wylał się ze zbiornika do rurociągu. Na powierzchni żrącej cieczy ukazały się wielkie, pękające z sykiem bąble.

Indianie rzucili się nie ziemię i zaczęli głośne modły. Poblady Simon belkotał tylko w kółko:

- O mój Boże! Nie! Proszę, nie!

Axel nie był już w stanie tego znieść. Potworne myśli wprost rozsadały mu głowę. W końcu upadł zemdlny na ziemię.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI: Trzeba umieć liczyć do sześciu

- Idiota, co za żaloszny idiota! Mięczak, maminsynek! - szalała Lilo.

- A ty jesteś głupią, tępą, przemądrzałą krową! - Rozzłoszczony Dominik nie zwrócił uwagi na nielogiczność tego stwierdzenia.

- Przestańcie wreszcie! Natychmiast przestańcie! Nie zniosę tego dłużej! - wrzasnęła Poppi, zatykając sobie uszy rękami.

W ciasnej, zamkniętej przestrzeni kłótnia była jeszcze bardziej okropna.

- Hej, słyszycie to? - spytała nagle Lilo.

Szum, huk, bulgotanie i wstrząsy.

- Coś płynie... coś płynie rurociągiem! - ryknął Dominik, przekrzykując hałas.

Wszyscy jednocześnie rzucili się do kłapy wjazdu, którym weszli do rury. Usiłowali teraz zakręcić zamykające go sworznie. Metal wibrował coraz bardziej, nasilający się odgłos wskazywał, że tajemnicza ciecz dopłynęła już do miejsca, w którym przed chwilą się znajdowali.

Dominik, Poppi i Lilo zawrócili w połowie drogi do fabryki. Chłopiec dostał ataku tak silnej kalustrofobii, że nie był w stanie przejść ani metra dalej. Gdy biegiem rzucił się z powortem, dziewczyny pognały za nim. Lilo przez cały czas ostro dogryzała Dominikowi, jednak teraz odebrało jej mowę.

- Gdybyśmy... jeszcze byli tam w środku... to... już byśmy nie żyli! - szepnęła przez zaciśnięte gardło, po czym objęła przyjaciela za szyję. - Wybacz mi, to ja byłam idiotką!

Straszna ciecz z potężną siłą uderzyła o klapę. Impet był tak wielki, że miomo zakręcenia sworzni wąż omal nie wyleciał w powietrze. Trójka przyjaciół z przerażeniem odskoczyła do tyłu. W rurach szumiało i huczało, a cały rurociąg groził wybuchem.

- Uciekajmy stąd! - wrzasnęła Lilo, pociągając przyjaciół za sobą. Gdy znaleźli się na zewnątrz, spyła Dominika: - Zakręciłeś zawory?

Zmieszany skinął głową.

- Wygląda, że to ty jednak miałaś rację!

- Zmywamy się stąd! Jeśli ciśnienie będzie zbyt duże, to wszystko wyleci w powietrze! - jęknęła Liselotte.

Pędem rzucili się do rowerów. Dominik i Poppi jechali, a Lilo biegła obok. Co chwila spoglądali za siebie, ale blaszana budka wciąż jeszcze stała.

Przed sobą mieli teraz dwumetrowej wysokości ogrodzenie fabryki. Wiedzieli, że tem jest Axel, który potrzebuje ich pomocy, ale jak mieli się dostać na teren zakładu? Ogrodzenie było przecież pod prądem.

Bezradnie stali przed barma, patrząc na ogromne zbiorniki. Nie mieli pojęcia, że w jednym z nich leżał nieprzytomny Axel, który niedługo miał zostać wrzucony do żrącego kwasu.

Jak okiem sięgnąć, nikogo. W końcu była niedziele, zakład nieczynny.

Dobiegł ich szum silnika samochodu. Szybko ukryli się za stojącymi nieopodal bramy beczkami.

Biała furgonetka z niebieskim napisem "Blanc" podjechała do barmy i zatrzymała się przed nią. Kierowca wystawił przez okno pilota i brama zaczęła odsuwać się na bok.

- Chodźcie, wskoczmy na tył furgonetki! - postanowiła Lilo, widząc, jak wolno przesuwa się brama.

Podbiegli szybko i modląc się, żeby kierowca ich nie zauważył, otworzyli tylną klapę. Wskoczyli do środka i wylądowali miękko na stosie brudnej bielizny.

- Udało się! Tylko musimy uciec, zanim ten facet nas odkryje. Chociaż nie, może będzie mógł nam pomóc - szepnęła Lilo.

- Kim wy, do diabła, jesteście? - nieoczekiwanie odezwał się z ciemności jakiś głos.

Cała trójka podskoczyła z przerażenia, oświetlając latarkami wnętrze furgonetki.

Zza stosu bielizny wychyłała twarz długowłosego mężczyzny w średnim wieku.

- A k... k... kim pan jest? - wyjąkała Lilo.

- Jestem detektyw John Minor z policji kryminalnej w Vancouver i ninejszym was aresztuję!

- Ależ my chcemy tylko uratować naszego przyjaciela... i pana Andersona, i jego ideę! Tam w środku jest jego brat, który kompletnie oszalał!

- Kogóż to chcecie ratować? Boba Andersona? - spytał z niedowierzaniem detektyw.

Cała trójka poiwała głowami.

- Lepiej uważajcie, żeby mu nie wpaść w łapy. Ten facet jest większym przestępcą niż ci wszyscy, których wyciągnął z więzienia w Vanouwer!

Młodzi detektywi nie zrozumieli ani słowa z tej przestrogi. Może jednak nie było konieczne, ponieważ mężczyzna, który przedstawił się jkao detektyw Minor, zabronił im jakiegokolwiek dalszej akcji.

Na platformie zbiornika zajęczała syrena.

- Do diabła - zaklął Andreson - rurociąg się zatkał. Zamknął się zawór bezpieczeństwa!

Indanie przestali się modlić, a Simon nieśmiało uniósł głowę. W sercu Axela, który odzyskał już przytomność, błysnęła oskierka nadziei.

- Niech się wam czasem nie wydaje, że ujdziecie z życiem! - wrzasnął Bob Anderson, miotając się jak wściekłe zwierzę.

Rozczochrane włosy opadały mu na czoło, usta miał wykrzywione, po eleganckim, zawsze wypielegnowanym mężczyźnie nie zostało ani śladu.

Huk kolejnego wystrzału poniósł się echem w powietrzu. Anderson opuścił na moment broń, otarł pot z czoła i przeczesał palcami włosy.

Jego ręka z pistoletem znalazła się na wysokości oczu Axela. Chłopcu przyszła nagle do głowy odważna myśl. Wykorzystując chwilę nieuwagi Andersona, chwycił za broń, ale ten był szybszy i nie pozwolił sobie jej wyrwać. Złapał za to Axela, przymierzając się, by wrzucić go do kwasu.

- Bob, nie rób tego, zwariowałeś? - krzyknął z rozpaczą Simon.

Anderson odwrócił się do niego i z zimną krwią nacisnął spust.

Zamiast huku wystrzału rozległ się jedynie suchy trzask. Pistolet miał tylko sześć naboji i teraz magazynek był już pusty!

Indianie z dzikim wrzaskiem rzucili się na Andersona i powalili go na ziemię.

- Ręce do góry! Wszyscy ręce do góry! - krzyknął detektyw Minor, wpadając jak burza do zbiornika.

Za nim tłoczyli się w wejściu Dominik, Poppi i Lilo, który nie usłuchali polecenia, że mają czekać na dole.

- To jest Simon Anderson, musi go pan aresztować! To on jest winien! - wrzasnęli chórem.

- Nieprawda, to ten! - oznajmił Axel, wskazując na Boba Andersona i nieprzytomny runął na ziemię.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI: Nowe życie

Zawody w dziesięcioboju zostały przerwane, ale wszyscy młodzi sportowcy otrzymali zaproszenie na trzydniową wędrowkę z Indianami po terenie parku narodowego. Wyprawa miała zatrzeć złe wspomnienia z ubiegłych dni.

- Nauczycie się poruszać tak, żeby nie zostawiać śladów! - oznajmił Simon Anderson.

Jego przebrani za wilkołaki indiańscy przyjaciele udowodnili, jak znakomicie opanowali tę umiejętność.

Jednak wszyscy młodzi detektywi pozostali razem z Becky, która bardzo potrzebowała wsparcia i pomocy. Usłyszawszy całą prawdę o swoim ojcu, doznała szoku. Bob Anderson doskonale ukrywał to, że prowadzi podwójne życie.

- Zawsze chciał udowodnić, że jest lepszy ode mnie. To nieprawda, że rodzina miała go za głupca, on sobie to zwyczajnie uroił! - opowiadał Simon.

Po bójce z młodym Indianinem, w której w rzeczywistości nie brał żadnego udziału, Simon wycofał się z aktywnej kariery zawodowej i poświęcił się walce o prawa Indian. Dzięki jego interwencji rząd kanadyjski zwrócił im zarekwirowane totemy i maski. Te artystyczne przedmioty odebrano im, aby zmusić ich do przystosowania się do tradycji i kultury białych osadników.

- Nigdy bym nie przypuszczał, że Bob jest zdolny do czegoś tak niewyobraźalnie strasznego tylko dla własnej ambicji! - powtarzał Simon.

Przyznał, że ukradł segregator z dokumentami do kroniki rodzinnej, bo pragnął się przekonać, czy jego brat nie pominie w niej drastycznych szczegółów. W ten sposób

natrafił na opowieść o wilkołakach, o której sobie przypomniał, gdy Indianie opowiedzieli mu o rurociągu Andersena i zagrożeniu dla przyrody.

Simon wiedział, że Bob jest człowiekiem, któremu zależy wyłącznie na córce i sobie samym. Wiedział też, że jest on przesądny i dumny z bogatej historii rodu. Simon miał nadzieję, że pozorne wypełnienie się przepowiedni o wilkołakach i srebrnej kuli pomoże odwieść brata od planu, choć nie znał jego szczegółów.

Ludzie, których Bob zatrudniał w swojej fabryce, nie byli żadnymi naukowcami, lecz zbiegłymi więźniami. Z pomocą przekupionych wartowników i pralni bielizny udawało mu się wywozić ich z więzienia. Obiecywał im nowe paszporty i duże sumy pieniędzy w bardzo krótkim czasie. hętnie się zgadzali.

Detekty Minor dostał się do więzienia w przebraniu odsiadującego wyrok przestępcy, aby w końcu odkryć, w jaki sposób więźniowie uciekają.

- Becky zostanie ze mną, a ja zrobię wszystko, żeby zapewnić jej takie życie, na jakie zasługuje! - obiecał Simon, a czwórka przyjaciół natychmiast mu uwierzyła. - Przetem ukrywaliśmy ją na wilczej farmie po drugiej stronie jeziora, kto wie, może teraz zamieszkamy tam na stałe. Właścicielka jest moją dobrą znajomą. Jeśli jednak to miejsce miałyby przypominać Becky o smutnych przeżyciach, poszukam dla nas obojga jakiegoś innego domu. Na szczęście Kanada jest wielkim i pięknym krajem. Jeszcze jedno: dzięki uporowi Dominika i jego pozornemu błędowi tysiące zwierząt uniknęło straszliwej śmierci!

Dominik z zawstyżeniem wpatrywał się w podłogę. Wiedział, co Simon ma na myśli. Ponieważ dokręcił wszystkie zawory, strumień żrącego kwasu został zatrzymany. Nagle jednak się odezwał:

- Ludzie, nie chcę nic mówić, ale uważam, że jestem genialny! Popelniam błędy, a one okazują się przydatne. Robi mi się słabo i dzięki temu ratuję szanowne damy. To po prostu genialne!

Jego przyjaciele mieli wrażenie, że się przesłyszeli.

- Wy także jesteście genialni! - przyznał łaskawie Dominik. - Ale ja popelniam genialniejsze błędy!

- Człowieku, że też sam na to wpadłeś! - warknął Axel, pozostali wybuchnęli szalonym śmiechem. Nagle Axel spoważniał i zapytał z niepokojem: - Czy teraz podczas każdej pełni będę wył do księżycy i zmieniał się... w wilkołaka?

- Nie, Axel - uspokoił go Simon. - Opary ziół troszkę was zahipnotyzowały, a blask księżycy w pełni i wycie sprawiały, że ciągnęło was do lasu, jak sam zauważyłeś.

- Ale się cieszę! - odetchnął z ulgą Axel.